

Dawid Juraszek

Klasztor nad brzegiem rzeki

© Dawid Juraszek

www.fantastykapolska.pl

Wypluta pestka stuknęła o brzeg miseczki, odbiła się i zniknęła za krawędzią lakowanego biurka. Xiao skrzywił się na myśl o wstaniu z fotela i obiecawszy sobie, że podniesie pestkę przy najbliższej okazji, sięgnął po następną suszoną czerwoną śliwkę.

Jesienny poranek włókł się leniwie. Załatwiona dzięki koneksjom ojca posada pisarza sądowego w Hengshan, stolicy powiatu, dawała wprawdzie aż nadto czasu na naukę do kolejnego stopnia cesarskich egzaminów, ale skoro bakalarski czepiec wystarczał do sięgnięcia po tak dobrą synekurę, Xiao nie odczuwał przesadnej skłonności do ksiąg. Wołał delectować się solonymi śliwkami, gapić na papierowy parawan malowany w żurawie i rozmyślać o Modrym Lotosie.

Kurtyzana też upodobała sobie młodzieńca. Odkąd zaczął odwiedzać dziewczynę, zamykała drzwi przed innymi gośćmi. Sięgnął po kolejny owoc i odchyliwszy się wygodnie, przymknął oczy. Ach, jakież ona ma cudne...

Ze słodkich marzeń wytrącił go gwar na dziedzińcu jamenu. Pan Hu chyba jeszcze nie wrócił? – zaniepokoił się. Stale zaciętej twarzy sędziego nie rozjaśniło nawet przywiezione przez gońca z Ministerstwa Kar pismo o ceremonialnym wręczeniu nowej godności urzędowej. Kiedy Hu wróci, zamiast zajadać śliwki, trzeba będzie od czasu do czasu markować pracę – Xiao był tego aż nadto świadomy.

Brutalnie wyrwany z rozmyślań westchnął i wyprostował się w fotelu. Stos raportów czekał na przepisanie. Sięgnął po czystą kartkę papieru i roztarłszy tusz, jął szybkimi ruchami pędzelka kopiować ideogramy.

Za ścianą rozległy się kroki. Bakalarz zadrżał, ale zaraz się uspokoił. Jeśli to pan Hu, to w lepszym momencie nie mógł mnie zastać, pomyślał. Gdy zza parawanu ktoś wyszedł i stanął przed biurkiem, młodzieniec nie podniósł wzroku, udając pochłoniętego pracą.

– Panie Xiao! – To był strażnik sądowy. – Świadkowie zbrodni ośmielają się prosić o wysłuchanie.

Bakalarz znieruchomiał, a potem zapytał niepewnie:

– Czy nie mogą poczekać, aż wróci sędzia Hu?

Strażnik uklonił się.

– Mam ich zatem odprawić?

Xiao odłożył pędzelek. W jamenie nie było nikogo, kto mógłby wysłuchać doniesienia. Sędzia oraz jego zastępca, podsądek Chu, wyjechali do Północnej Stolicy, zostawiając na posterunku tylko pisarza i strażników. W powiecie niewiele się działo, odkąd pan Hu nakazał uświadamiać petentom kijami, że składanie zawiadomień o przestępstwach burzy spokój w Cesarstwie Środka. Ktoś najwidoczniej o tym nie wiedział lub wydarzyło się coś naprawdę poważnego.

– Niech wejdą – westchnął wreszcie i sprzątnął z biurka miseczki.

Po chwili do gabinetu wkolebali się dwaj starcy. Ich szare oponczce nosiły ślady zużycia, łysiny pokrywały wątrobiane plamy. Padli na kolana i jęli bić pokłony.

– Z czym przychodzicie? – Xiao odchrząknął i od niechcenia wskazał im taborety. Nie skorzystali z oferty, nadal kiwając się na wyłożonej płytkami podłodze.

– Dostojny sędzio! – zaczął jeden. Bakalarz chciał się zachnąć, ale po namyśle zrezygnował. – Wielka jest twoja mądrość i wyrozumiałość. Wybacz nam, prostym ludziom, że ośmielamy się zaprzętać ci głowę. Jednak stała się rzecz straszna.

– Kim jesteście i skąd przybywacie? – zapytał i sięgnął po pędzelek. Zastanawiał się, czy starcy widzieli kiedykolwiek sędziego samodzielnie sporządzającego notatkę.

– Czcigodny panie, jesteśmy ubogimi pielgrzymami. Przybyliśmy na Świętą Górę Heng, by oddać cześć bogom w starożytnych klasztorach. Kiedy dotarliśmy wczoraj do Klasztoru

nad Wschodnim Brzegiem Rzeki, oczom naszym ukazał się straszliwy widok! – Starcem wstrząsnął dreszcz, z wąskich ust pociekła ślina. Xiao skrzywił się i zwrócił do drugiego:

– Cóż takiego ujrzeliście?

– Dostojny sędzio, klasztor, do którego zdążaliśmy, na uboczu jest położony. Zdziwiło nas, że nie słychać dzwonów ani ludzi. Brama była otwarta, a za nią leżał trup furtiana z poderżniętym gardłem!

Xiao wpatrzył się w kleks, który postawił na kartce. Morderstwo? Tu trzeba było sędziego, nie pisarza!

Pierwszy starzec uporał się ze ślinotokiem.

– Czcigodny, w całym klasztorze nie było żywego ducha, choć przecież mieszkają tam dziesiątki mnichów! Dopiero po długim czasie znaleźliśmy w sali modlitewnej drugiego mnicha. Leżał pod ołtarzem. Śmierć zaskoczyła go chyba podczas modłów. Jakże on strasznie wyglądał! Twarz miał wykrzywioną niby w potwornej męce, dłonie niczym szpony, ciało wygięte jakby skręcał się z ogromnego bólu...

– ...ale nie miał nigdzie żadnej rany! – wtrącił drugi.

– A pod jednym budynkiem – pierwszy nie dał sobie odebrać głosu – leżało trzech zbójów tak samo jak ten mnich wykrzywionych!

Bakałarz przebiegł wzrokiem zapisane kartki. Okropna sprawa. Cóż się tam, u lisa, wydarzyło?

– Co było dalej?

– My dwaj zesłaliśmy ze Świętej Góry i dziś rano pojechaliśmy do miasta zawiadomić ciebie, dostojny panie, a reszta pielgrzymów została na miejscu, by o ciała zadbać i klasztoru na pastwę złodziejom nie zostawić.

– Ilu was tam było?

– Dwakroć po siedmiu, panie.

– Czemu zatem tylko wy dwaj przybyliście z doniesieniem? – Xiao uznał, że najwyższy czas zachować się jak prawdziwy sędzia. – Czy myślicie, że na wiarę przyjmę słowa zaledwie dwóch osób nikczemnego stanu?

– Dostojny panie – starcy odezwali się prawie jednocześnie – jakże śmielibyśmy kłamać przed twym obliczem? Przyjechaliśmy, bo tylko my dwaj potrafimy jeszcze dosiąść osła. Jesteśmy zaledwie nędznymi pielgrzymami o powolnych umysłach, ale zlituj się nad nami i przyjmij nasze słowa za prawdę!

Xiao pokiwał głową i dłuższą chwilę udawał, że z uwagą czyta własne notatki. Nie bardzo wiedział, co ma zrobić. Dotychczas jedynie spisywał to, co padło podczas prowadzonych przez sędziego Hu rozpraw, nie zastanawiając się zbytnio nad ich celem i sensem.

– Hmm... – mruknął, próbując zyskać na czasie. Sprawa była poważna i nagląca, a Hu i Chu wrócić mieli dopiero za kilka dni. Obracał w palcach pędzelek, skakał wzrokiem z jednej kartki na drugą. Wreszcie westchnął.

– Zajmę się tym.

Starcy, bijąc czołami o podłogę, zaczęli głośno dziękować. Uciszył ich ruchem ręki.

– To mój urzędowy obowiązek. Każę okulbaczyć konie i zobaczymy na miejscu, jak się sprawy mają. Ale jeśli okaże się, że coś zmyślacie, gorzko pożałujecie!

Pierwszy starzec pokłonił się ponownie.

– Czcigodny sędzio, w swej niezmierzonej dobroci wybacz nam, jeśli uchybimy ci w jakikolwiek sposób, ale zechciej przychylić się do naszej prośby. Jesteśmy już podeszli wiekiem, pielgrzymowaliśmy od wielu dni, dzisiejsza jazda i chłód nas wyczerpały, w drodze do klasztoru będziemy cię opóźniać. Czy byłbyś tak łaskawy, by pozwolić nam odsapnąć jakiś czas, nim podejmiemy trud powrotu na Górę?

Bakałarz chwilę rozważał prośbę. Trochę łaski nie zawadzi, pomyślał i przytaknął z powagą.

– Niech tak będzie. Jeśli brak wam pieniędzy na gospodę, możecie skorzystać z tych skromnych pieleszy.

– To aż nadto na nasze znikome potrzeby! – Starcy znów rzucili się bić pokłony.

Zawoławszy sługi, młodzieniec kazał zaprowadzić pielgrzymów do komnat gościnnych. Potem, pamiętając o godnościach, na jakie zasługuje misja, i niebezpieczeństwach, na jakie jest narażona, wybrał dwóch rzutkich a barczystych strażników, Chenga i Denga, i kazał przygotować trzy wierzchowce. Niedługo później byli już w drodze. Przed nimi piętrzyła się zamglona sylwetka Świątej Góry Heng.

– Żądacie po prostu za dużo!

Stali przy imponującej bramie, będącej początkiem głównej drogi do serca górskiego pasma. Z pozostałych stron świata dostępu broniły skalne urwiska. Niżej, w centrum wzniesionego nad brzegami Czystej Rzeki miasteczka Nanshan, widać było Świątynię Najwyższej Czystości, choć kontury dachów zacierała gęstniejąca z każdą chwilą mgła.

Tragarze zaklinali się, że po ostatnich deszczach górskie ścieżki są śliskie, że klasztor położony jest niemożliwie wysoko, wreszcie, że dla tak bogatego pana tych kilka sznurów monet wartych jest tyle, co plwocina, dla nich zaś to jadło na wiele dni. Xiao jednak wciąż kręcił głową. Nie znał się na cenach, podczas żadnej z dorocznych rodzinnych pielgrzymek nie korzystał z lektyk, ale kulisi żądali stanowczo za dużo. Zresztą trochę zbyt późno zorientował się, że w ferworze wyjazdu wziął za mało miedziaków. Wciąż jeszcze mógł wrócić po konie, oddane na przechowanie do pobliskiej gospody, choć nie znał drogi do klasztoru, a wąskie i strome ścieżki groziły upadkiem w przepaść. Mógł też wymienić w mieście sztuki srebra na sznury po sto miedziaków i targować się dalej. Lecz coś mu mówiło, że przeciągające się układy z biedotą szkodzą autorytetowi jamenu. Musiał wreszcie uciąć sprawę.

– Trzy sznury. Więcej dać nie mogę i nie dam!

Tragarze poszeptali chwilę. Wreszcie odezwał się najbardziej wyszczekany, Lu.

– Niech będzie. Tracimy na tym, ale to zaszczyt nieść tak czcigodnych pielgrzymów.

Szóstka krępych i krzepkich mężczyzn uniosła lektyki i podśpiewując, ruszyła w chybotliwą drogę. Bakałarz pamiętał, że sylwetka pierwszego klasztoru, z widoczną tuż po przejechaniu przez bramę Świątynią Rozkwitającego Lotosu, wzniesioną nad Jeziorem Srebrnej Fali, co roku robiła na nim ogromne wrażenie. Teraz jednak tylko prześlizgnął się wzrokiem po czerwonych murach, wyrastających jakby wprost z lustra wody. Nie dlatego, że mgła przykryła już prawie całe jezioro. Nie dlatego też, że był tu z powodu morderstwa. Głównie dlatego, że wsiadając do lektyki, usłyszał strzęp rozmowy między Dengiem i Chengiem:

– ...pan Hu nigdy by nie zapłacił tym zawszonym wieśniakom...

Mijając pierwszy i największy klasztor, poza który nigdy dotąd się nie wyprawiał, zastanawiał się, czy strażnicy mieli na myśli skapstwo starego sędziego, czy naiwność młodego pisarza.

Xiao zaszczekał zębami i ciaśniej opiął na sobie chałat. Żałował, że nie pomyślał o zabraniu ocieplanych szat. Tragarze przestali już nucić. W miarę wspinaczki robiło się coraz zimniej, krajobraz również przyprawiał o dreszcze. Spowity mgłą las niewiele miał

wspólnego z zadbanymi ogrodami przy świątyniach na dole. Do tego niedawno przeszła tu wichura – dziwne, bo w mieście przez ostatnie dni powietrze było spokojne. Już kilka razy musieli wysiadać z lektyk i o własnych siłach przekraczać obalone sosny. Zewsząd sterczały rozszczepione i połamane pnie.

Nagle rozległ się ludzki głos. Po chwili na ścieżce przed nimi zamajaczyła sylwetka mężczyzny. Wieśniak w szerokim, stożkowym kapeluszu prowadził na postronku czarną świnię i pomstował wniebogłosy.

– Czegóż tak złorzeczysz, dobry człowieku? – zagadnął go Xiao, jednocześnie nakazując tragarzom się zatrzymać. Skwapliwie skorzystali z okazji do odpoczynku.

Wieśniak podniósł nieprzytomny wzrok, przyjrzał się szatom rozmówcy, a potem padł twarzą w błoto.

– Szlachetny panie! Nie gniewaj się, że głupimi utyskiwaniami zakłóciłem spokój twych rozmyślań.

– Kim jesteś i skąd w tobie tyle złości?

– Szlachetny panie! Jestem wójtem wioski tu w dolinie. Od dwóch nocy wichry dzikie szaleją po górach, drzewa łamią, straszą zwierzęta. Wczoraj tak wyło w lesie, że świnię chlew rozwalili, córkę mi po drodze stratowały, po okolicy się rozbiegły, ledwo drugą sztukę dotąd znalazłem! Jeśli połowę zwierząt odnajdę, będę świętował.

– Jak się czuje córka?

– Córka? Już pochowana. A miał syn iść świnię karmić, gdyby zginął, nie wiem, co by się z rodziną stało...

– Obyś wszystkie swe świnię odnalazł.

Xiao klepnął tragarza w ramię. Zostawili wieśniaka z czołem wciśniętym w błoto.

Nie na darmo powiadają: syn w domu – radość i przybytek, córka – smutek i ubytek.

Las rzedniał. Kiedy wydostali się na otwartą przestrzeń, z wyrąbanej w urwisku wąskiej ścieżynki rozpostarł się widok na sterczące pod niebo skały, między którymi unosiły się pasma mgieł. W dole huczała na kaskadach rzeka.

– To Trzej Mnisi. – Tragarz ruchem podbródka wskazał grupę skał daleko na przedzie. Niemal identyczne iglice następowały po sobie niczym idący krok za krokiem pochyleni starcy. Iluzja, spotęgowana mgłą, była niepokojąco wyrazista.

– Jak powstały te skały? – zapytał zdumiony Xiao. Tragarz potrząsnął głową:

– Nie wiem. Pewnie jakaś boginka ustawiła je na przestrozę.

Przez chwilę słychać było tylko szurgot kroków na kamienistym podłożu i grzmot wody.

– Daleko do klasztoru?

– Daleko. – Tragarz zacisnął zęby. Dróżka pięła się wyżej, kamyki zgrzytały i spadały w przepaść.

– Czemu przenieśliście tu ciała? Jak ja mam teraz dojść prawdy?

Xiao był zły. Żałował, że nie odprawił rano pielgrzymów, że nie kazał im czekać na powrót sędziego Hu. Stał teraz w wilgotnym ubraniu w ciemnej sali, słuchał mamlających staruchów w cuchnących opończach i spoglądał na pięć trupów, z których tylko jeden trupem był co się zowie.

Widok poskręcanych jak w paroksyzmie straszliwego bólu trzech drabów w czarnych, złodziejskich strojach oraz równie odrażająco zniekształconego łyszego mnicha w

zgniłozielonej opończy mógł rozstroić nerwowo. W takim towarzystwie drugi mnich z masą zakrzepłej krwi pod brodą prezentował się wręcz godziwie i przyzwoicie.

– Dostojny panie, wybacz nam, nędznym pielgrzymom! – Łysy garbus, zwany Yangiem, chyba zgiął się w ukłonie, ale trudno było po nim poznać. – Ten oto mnich tu właśnie padł martwy, a tamci czterej leżeli pod gołym niebem, na deszczu, jakże to ich nie przenieść pod dach? Nie sroż się, czcigodny panie!

– Zaprowadźcie mnie tam, gdzie ich znaleźliście, byle szybko – rzucił sucho Xiao i nie czekając, wyszedł na zewnątrz. Łaknął świeżego powietrza.

Klasztor wzniesiono na łagodnym zboczu, z najważniejszą świątynią, do której poprzez mniejsze świątynie prowadziły rozsypujące się kamienne schody, u samej góry i pagodą z boku. Xiao spojrział w dół, na obszerny dziedziniec, w centrum którego znajdowała się zdobna studnia, i oto, co ujrzał:

z brązowej kadzielnicy wydobywają się smużki aromatycznego dymu
na wprost widnieją tyły mniejszej świątyni
drewniane ściany jaśnieją kolorem czerwonej papryki
wywinięte na narożnikach dachy kołają w oczy brudnymi ceramicznymi dachówkami
po bokach dziedzińca kołyszają się lekko sędziwe cyprysy
zza wewnętrznego muru po bokach wyzierają pomniejszych budynki i kwatery mnichów
za murami zewnętrznymi szumi sosnowy las
ponad wierzchołki najwyższych drzew sięga nadgryziona zębem czasu siedmiopiętrowa pagoda

jej szczyt niknie w ciągnącej ku niewiadomym przestworom mgłę

Gdziekolwiek spojrział, nic nie wskazywało, by niedawno wydarzyło się tu coś wymagającego interwencji sędziego.

Pielgrzymi wykuśtykali ze świątyni, chwilowo zamienionej na dom pogrzebowy. Za gromadą podążali wyraźnie znudzeni Cheng i Deng.

– Furtian leżał przy bramie z podciętym... – zaczął Yang, ale Xiao przerwał:

– Leżał za czy przed bramą?

– No... za bramą.

– Czyli musiał znać napastników, inaczej by ich nie wpuścił...

Garbaty ponownie jakby się uklonił.

– Dostojny panie, w bramie było okienko, mogli cię go, gdy je otworzył, by sprawdzić, kto stuka. Albo podszyć się pod uczciwych pielgrzymów i zaatakować, gdy uchylił bramy w dobrej wierze.

Xiao pokiwał głową, zły, że sam na to nie wpadł.

– A tamci trzej?

– Zaraz dostojnego pana zaprowadzimy, gdzie trzeba. To tajemnicza sprawa!

Ruszyli wzdłuż obrośniętego mchem chylącego się muru. Po długim – nie z powodu dystansu, lecz tempa narzuconego przez pielgrzymów – marszu ich oczom ukazała się niewielka, samotna świątynia. Okalały ją zdziczałe krzewy, dach porastało zielsko, a z krawędzi otwartych drzwi zwisały poszarpane paski papieru.

– Odkąd tu pielgrzymujemy, a pielgrzymujemy od tuzina z górą lat, nie pamiętamy, by świątynia ta była kiedykolwiek otwarta. – Yang, nie wiedząc czemu, zaczął szeptać, czym dodatkowo zdenerwował już i tak poirytowanego Xiao. – Złoczyńcy leżeli tutaj, o, i tam, jakby chcieli uciec przed śmiercią. – Kostropatą ręką zakreślił łuk. – Nie ruszaliśmy ich narzędzi, żeby dostojny sędzia mógł sam je obejrzeć. – Wskazał metalowe przedmioty w trawie. – Pewnie myśleli, że jak zamknięte, to znaczy, że skarb...

– A co tam jest naprawdę? – Bakalarz spojrział niepewnie w mroczne wnętrze świątyni. Nawet w tak zimny dzień ze środka wiało chłodem.

Garbus pokręcił głową.

– Nie wiemy. Czekaliśmy na ciebie, dostojny panie.

Xiao przełknął ślinę. Chwilę gorączkowo rozważał, co robić. Wreszcie skinął na strażników.

– Cheng, zerknij do środka, czy potrzeba pochodni. Deng, przyjrzyj się tym porzuconym narzędziom. – Potem zaś zwrócił się do Yanga: – Te paski papieru na drzwiach, co one znaczą?

Starzec rozłożył przepaszając ręce, ale w gromadzie pielgrzymów ktoś zawołał słabym głosem:

– Dostojny sędzio, jeśli raczysz wysłuchać mnie, prostego człeka, rzeknę, co wiem.

Xiao skinął przyzwalająco, czerpiąc niejaką przyjemność z okazywania łaski; pielgrzym postąpił naprzód. Jedynie on miał na czasce trochę włosów, za to wspierał się na dwu laskach. Jak dostał się aż tutaj, bakałarz nie był w stanie pojąć. Chyba że skorzystał z lektyki, ale to by znaczyło, że ma sporo pieniędzy jak na pielgrzyma i że jak na pielgrzyma dziwnie za nic ma umartwienie.

– Te paski własnoręcznie nałożyli przeorzy wszystkich klasztorów Świętej Góry Heng – powiedział kaleka drżącym głosem. – Noszą one ich pieczęcie.

– Po co je sporządzono? – zaciekawił się Xiao.

– Nie wiem, czcigodny panie. Kiedyś tu podszedłem i odczytałem znaki. Jest tam jeszcze ostrzeżenie, żeby pod żadnym pozorem nie otwierać świątyni.

Pisarz pokiwał w zamyśleniu głową. Ostrzeżenie nie zostało rzucone na wiatr, jak udowodniały zwłoki trzech drabów.

– Jest bezpiecznie, pochodni nie trzeba – zawołał Cheng. Xiao podziękował kalece skinieniem i nadržając niepewność ducha pewnością ruchów, wszedł do świątyni.

W środku było dużo zimniej niż na zewnątrz. Bakałarz miał wręcz wrażenie, że jego wilgotne ubranie za chwilę zacznie chrzęścić lodem. Panował półmrok, ale światła było dość, by wzrok szybko się przyzwyczaił.

– Jedna dziura w podłodze, druga w dachu, panie – mruknął Cheng. Xiao rozejrzał się, lecz nie dostrzegł niczego poza kurzem i pajęczynami.

– Za ołtarzem – dopowiedział strażnik.

Dopiero teraz bakałarz zwrócił uwagę, skąd pochodzi światło. Poświata dobiegała zza ołtarza, pustego, okrytego tylko czymś, co musiało niegdyś być ozdobną tkaniną. Zachęcony przez Chenga przeszedł do drugiej części świątyni.

Otwór w dachu miał chyba ze dwa łokcie średnicy, w podłodze połowę tego. Obok na posadzce leżała okrągła, kamienna płyta, pokryta smoczymi pieczęciami i feniksowymi znakami, a na tylnym ołtarzu stała rzeźba żółwia. W snopie światła padającego z góry snuły się spirale mgły. Biło od nich niezmiernie zimno. Lód na chałacie Xiao nie był już tylko wrażeniem.

Cheng podniósł z podłogi kawałek drewna odpadły z dachu i wrzucił w otwór u ich stóp. Czekali, ale z czeluści nie dobiegł żaden dźwięk. Bakałarz poczuł, jak okrywa się gęsią skórka.

– Pójdę po pielgrzymów – rzucił, szcękając zębami, i czym prędzej wyszedł.

– Zwykle narzędzia włamywaczy, panie – podszedł doń Deng. Bakałarz skinął machinalnie głową i zamachał na Yanga.

– Chodź tu, starcze, chcę, abyś coś zobaczył.

Pielgrzym zaczął dygotać, ledwo poczuł pierwszy podmuch zimna. Ujrawszy otwór i płytę, pokręcił tylko głową i wyrzucił:

– Dostojny panie, wybac, jam stary, ciemno tu, nic nie widzę, zimno odbiera mi oddech. Zawołaj kogo młodszego, o lepszych oczach...

– Dobrze, idź już. – Machnął ręką zniecierpliwiony Xiao. Garbus oddreptał czym prędzej.

Bakałarz długo patrzył w otchłań. Zdawała się być idealnie czarna i pozbawiona ścian. Stracił kolejny kawałek dachówki, ale znów nie rozległ się najdrobniejszy dźwięk.

– Przykryjmy to lepiej, jeszcze ktoś zleci do środka. Albo coś ze środka wyleci – mruknął do Chenga. Kiedy zasunęli ciężką płytę, w świątyni od razu zrobiło się cieplej. Xiao rozejrzał się po raz ostatni i wyszedł, wmawiając sobie, że czuje ulgę.

Obrazy musiały liczyć sobie wiele lat. Xiao z trudem rozpoznał na ściennych malowidłach mnichów w różnobarwnych opończach. Otaczały ich świątynie, pagody i skały, ale to, co robili, trudno było uznać za typowe mnisze zajęcia.

Bakałarz pokonywał kolejne kondygnacje pagody. Co piętro zatrzymywał się i oglądał następne odsłony tej samej historii, by z każdym obrazem nabierać większej pewności i dźwigać cięższe brzemie narastającej tajemnicy.

Mnisi na malowidłach walczyli. Nie z pokusami tego świata. Nie modlitwą i pracą. Walczyli ze sobą, dzierżąc miecze i łuki, włócznie i pałki.

Schody prowadzące na ostatnie piętro były tak wąskie, że ledwo się na nich zmieścił. Kiedy tylko uchylił drzwiczki, w twarz chlusnął mu zimny, wilgotny wiatr. Klasztor zewsząd osłaniały mury i las, ale wierzchołek pagody wystawiony był na pastwę żywiołów.

Pokonując napór pędzącego powietrza, przecisnął się na galerijkę. Przy pięknej pogodzie roztaczać się stąd musiał rozległy widok. Xiao zmrużył oczy i patrzył na dziką galopadę mgieł, pośród których mignęła czasem samotna turnia, lesisty szczyt czy pagoda.

Tak, pagoda. Trwało to ułamek chwili, ale bakałarz był pewien, że się nie mylił. Utkwił wzrok tam, gdzie w ulotnym prześwicie dostrzegł był budowlę. Jego cierpliwość została wreszcie wynagrodzona.

Pagoda stała blisko, bardzo blisko. Jak to się stało, że nie widział jej w drodze do klasztoru? Wystarczyłoby przecież, by mgła na moment zrzędnęła. Miał już schodzić, kiedy budowla mignęła ponownie, i mógłby przysiąc, że na galerijkach stoją ludzie.

Biały tuman gęstniał, zimny wiatr z łatwością przenikał przez wilgotny chałat. Xiao poniechał dalszych obserwacji i zszedł z powrotem. Na dole zoczył przechodzącego nieopodal pielgrzyma.

– Hej, starcze, podejdz no tutaj – zawołał władczo. Zapytany chyba nie dosłyszał, bakałarz musiał się więc chcąc nie chcąc pofatygować doń osobiście.

– Nie słyszałeś? Wołałem! – Złapał impertynenta za ramię, lecz wyraz autentycznego zaskoczenia na pomarszczonej twarzy nie pozostawiał wątpliwości. Starzec musiał być głuchy jak pień.

Dopiero obok głównej świątyni bakałarz wpadł na grupę pielgrzymów z Yangiem na czele.

– Co to za klasztor niedaleko? Dlaczego nie szukaliście tam pomocy? Dlaczego nikt mnie o nim nie powiadomił? – zarzucił starców pytaniami, tłumiąc wzbierający gniew.

Garbus łypnął okiem.

– Daruj nam, czcigodny, ale dla nas tamten klasztor nie istnieje.

Xiao potrząsnął głową.

– Co rzekłeś?

Yang kaszlnął, splunął na ziemię i odpowiedział:

– Nie istnieje. Nie wiemy, dlaczego tak jest, ale kto pielgrzymuje do tego klasztoru, unika tamtego, a kto pielgrzymuje do tamtego, unika tego. Tak było, odkąd pamiętamy. Wiemy tylko, że nazywa się Klasztorem nad Zachodnim Brzegiem Rzeki.

Bakałarz nagle poczuł, że chce stąd odejść, uciec czym prędzej, wrócić do miasta, do nudnego gabinetu i miseczki suszonych śliwek, a wieczorem zasnąć spocony w ramionach

kurtyzany. Co ja tu w ogóle robię? Niech mnie lisy porwą, jeśli wiem, co się tu dzieje! – pomyślał w rozpaczy.

W tej chwili słabości zastali go Cheng z Dengiem.

– Przeszukaliśmy każde pomieszczenie – zameldowali. – Mnisi rzeczywiście znikli bez śladu, zostawiając wszystko na miejscu.

– Dostojny panie – w głosie Yanga słyhać było niecierpliwość – w swej niezmiernej dobroci pozwól nam już się oddalić.

– Dokąd? – Głos Xiao zdradzał, że było mu już wszystko jedno.

– By dopełnić pielgrzymki, trzeba nam odwiedzić jeszcze wiele tutejszych świątyn. Skoro nad tym klasztorem pieczę ma już urząd sędziowski, radzi bylibyśmy móc ruszyć w drogę.

– Idźcie – nieledwie machnął ręką. – Niechaj wasza droga z wiatrem wiedzie.

Starcy pokłonili się trzykrotnie i oddalili. Już znikali za załomem muru, gdy Xiao zawołał za nimi:

– A do jakiego klasztoru się udajecie?

– Niebiańskiego Tygrysa – ktoś odkrzyknął z oddali.

– Nie opuszczajcie go przez tydzień, mogę was jeszcze potrzebować – dodał słabym głosem, jakby sądząc, że i tak go nie usłyszą.

Cheng i Deng przyglądali się bakałarzowi badawczo. Stare wygi, pomyślał. Służą sędziemu Hu już kilka lat, niechybnie mnie z nim porównują.

– Co z ciałami? – zapytał Deng.

– Co z klasztorem? – dodał Cheng.

Pisarz z trudem powstrzymał jęk. Skoro pielgrzymi odjechali, to spadały nań nowe zadania. Zadania, których za nic nie chciał wziąć na swe barki, już i tak obciążone ponad siły. Ale wciąż mógł zachować twarz. Wiedział przecież o czymś, o czym strażnicy nie wiedzieli. Wykrzesał z siebie resztkę sił.

– Tym zajmą się mnisi z sąsiedniego klasztoru – powiedział z nieźle udaną pewnością siebie.

Mężczyźni skinęli rzeczowo, choć przez ich twarze przemknęło zaskoczenie. To wystarczyło, by w Xiao wstąpiły nowe siły.

– Wracajmy do tragarzy. To blisko, ale szkoda nóg – rzucił i ruszył ku bramie.

– Jestem bakałarz Xiao Long. Przybywam z jamenu w Hengshan. Oczekuję udzielenia mi wszelkiej pomocy, jaką uznam za konieczną.

Xiao już w lektyce zrozumiał, dlaczego po drodze nie widzieli pagody. Klasztor nad Zachodnim Brzegiem Rzeki znajdował się za Klasztorem nad Wschodnim Brzegiem Rzeki, przez co dla osób wjeżdżających główną bramą do tego drugiego był niewidoczny. Dopiero gdy pokonywali w bród rzeczkę dzielącą oba zgromadzenia, z mgły wynurzyła się pagoda i szare mury.

Mnisi w jaskrawopomarańczowych opończach pokłonili się nisko. Najwyższy i najchudszy z nich, który przybył do bramy zawołany przez furtiana, pokłonił się nisko, w całej okazałości prezentując głębokie blizny na łysinie po umartwianiu się palonym węglem drzewnym.

– Jestem Najwyższym Kapłanem Klasztoru nad Zachodnim Brzegiem Rzeki – wyszczerzył w uśmiechu krzywe i poźółkłe zęby. – Witaj w naszych jakże skromnych progach, dostojny sędzio! Czym zasłużyliśmy sobie na wizytę cesarskiego urzędnika? Wnet przygotujemy poczęstunek i ugościmy cię zgodnie z twym majestatem.

Ujęty tak wylewną gościnnością, Xiao poczuł się nieswojo.

– Gwoli sprostowania, nie jestem sędzią, a zaledwie nędznym pisarzem sądowym. Moi zwierzchnicy wyjechali do stolicy, więc uznawszy, że sprawa nie cierpi zwłoki, postanowiłem się nią zająć...

Zmianę nastroju dało się zauważyć od razu. Ukłony z głębokich nagle stały się płytkie, uśmiech Najwyższego Kapłana zbladł.

– Zapraszamy w nasze skromne progi – powtórzył mnich, ale już znacznie chłodniej.

Postąpili w głąb dziedzińca. Wzniesione z kamienia mury otaczały kwadratowy zespół budowli położonych na płaskim terenie. Inaczej niż w Klasztorze nad Wschodnim Brzegiem Rzeki, nie było tu jednego ciągu świątyń. Budynki o bordowych ścianach i zielonych, glazurowanych dachówkach otaczały położoną centralnie pagodę, stanowiącą zarazem główną świątynię.

Poprowadzonej do obszernej sali gościnnej trójce przybyszów wskazano trzciniowe maty na podłodze i podano postne dania. Bakałarz, który nagle uświadomił sobie, jak jest głodny, nawet nie poczuł, kiedy w jego żołądku wylądowało gotowane proso z liśćmi bliżej nieokreślonej rośliny. Niepokrzepiony, przedstawił Kapłanowi sytuację i głęboko przejętego poprosił o widzenie z przeorem.

Mnich ze smutkiem pokręcił głową, skromnie wbijając wzrok w ziemię.

– Świątobliwy przeor więcej lat sobie liczy niż was trzech razem. Rzadko uczestniczy w życiu klasztoru. W południe odprawił Modły Początków Zimy, jest bardzo wyczerpany. Obawiam się, że widzenie z wami jest dziś już ponad jego siły.

– Ktoś jednak musi zatroszczyć się o ciała zmarłych, o mienie klasztoru! – oponował Xiao.

– Ależ to jasne. Mam na tyle władzy, że mogę wysłać braci po ciała i do ochrony klasztoru. Do tego nie trzeba niepokoić przeora.

– Naprawdę nic nie zwróciło waszej uwagi? Nie słyszeliście krzyków, bicia w dzwony?

– Nie. To spokojna, odludna okolica. Gdyby coś się działo, na pewno byśmy zauważyli.

– A jednak coś się stało. – Bakałarzowi zaczęło brakować tytułu sędziego. I idącej z nim w parze usłużności rozmówców. Zwłaszcza tak nikczemnego stanu.

– Być może pielgrzymi nie powiedzieli całej prawdy.

Xiao zadumał się. Dotąd nie wątpił w słowa starców, ale historia była rzeczywiście tak tajemnicza, że najłatwiej było założyć czyjeś kłamstwo. Albo zatajenie prawdy.

– Skąd animozja między klasztorami po obu stronach rzeki? – zapytał nagle.

Kapłan pierwszy raz od dłuższej chwili spojrzał wprost na młodzieńca.

– Animozja? Nie rozumiem.

– Pielgrzymi powiedzieli, że odkąd pamiętają, muszą wybierać między modłami w tamtym, a w waszym klasztorze. Stąd wnoszę, że jest między obu zgromadzeniami jakiś konflikt.

Mnich westchnął.

– Nie ma i nie było żadnego konfliktu. Jest za to dowód prawdomówności pielgrzymów. Jeśli raz skłamali, skąd pewność, że nie zełgali wszystkiego?

Xiao głośno zaburczało w brzuchu. Kapłan uśmiechnął się pierwszy raz od spotkania przy bramie.

– Nam, mnichom, przysługują tylko dwa posiłki dziennie, lecz dla gości możemy zrobić wyjątek.

Wyszedł, by już nie wrócić. Po chwili w sali pojawił się nowicjusz z trzema miskami prosa. Mimo głodu każdy kęs rósł Xiao w ustach.

Trzy twarze wpatrują się w niewidocznego rozmówcę; ogromne, wykrzywione usta otwierają się łapczywie, odsłaniając zepsute zęby; oczy błyszczą jak w gorączce, palącej duszę żądzą posiadania; uszy nadstawiają się chciwie, by nie uronić żadnego słowa...

Gdyby Xiao spał na podwyższeniu, spadłby na podłogę, tłukąc się solidnie. Na szczęście tylko sturlał się z maty na brudne deski. Dłuższą chwilę próbował ustalić, gdzie się znajduje. W skąpym świetle padającym przez okno z natłuszczonego papieru dojrzał wreszcie ołtarzyk przy drzwiach.

Mnisza cela liczyła cztery na pięć kroków. Uszczelnione gliną belki ścian słabo chroniły przed przenikliwym wiatrem. Schwytny w szpony sennego koszmaru bakałarz nie czuł zimna. Teraz miał wrażenie, że perlący mu się na czole pot wnet zacznie zamarać.

Wstał i okrywszy się kocem, począpał obolały do miski z wodą, w której próbował się poprzedniego dnia umyć. Przebił palcami warstewkę lodu i zwilżył piekące powieki, starając się wymazać z pamięci natrętne obrazy.

Twarze ze snu należały do drabów, którzy włamali się do zapieczętowanej świątyni.

Odsunął nogą kawałek deski w kącie i przykucnął nad otworem, pod którym na całej długości budynku ciągnęła się kloaka. Nie myślał o niczym konkretnym; zresztą nawet nie miałby czasu, bo musiał jak najszybciej skończyć. Przymrozek miał i dobre, i złe strony.

Wyszedł z celi jednocześnie z biciem dzwonu. Przez drzwi krzyknął Chengowi i Dengowi, żeby rozejrzeli się w terenie, i szedł po drabinie na dziedziniec.

Obejście całego obszaru nie zajęło wiele czasu. Klasztor, choć spory, był dużo mniejszy od Świątyni Rozkwitającego Lotosu, którą Xiao zdążył od małego poznać jak własny rękaw. Ale o ile tam mnisi rozplýwali się w uśmiechach i służyli odwiedzającym wszelką pomocą, to tutaj przemykali z kamiennymi twarzami, nie zauważając bakałarza. Przez chwilę zastanawiał się, czy ofiara na klasztor coś by zmieniła. Po namyśle sięgnął po wyłożone na użytek pielgrzymów trociczki. Obok stał wysoki dzban na zapłatę, lecz Xiao tylko zamarkował, że coś doń wrzuca, i zapalił je przed główną świątynią. Na nic więcej klasztor, zwłaszcza tak nieprzyjazny, nie zasługiwał.

Poza okazywaną pisarzowi sądowemu obojętnością mnisi zachowywali się zupełnie zwyczajnie. Choćby chciał, nie znalazłby w ich postępowaniu nic podejrzanego. Wreszcie udał się znudzony do sali jadalnej, gdzie kilka osób dojadło już ryżową na liściach. Chwilę stał w progu, nie mogąc zdecydować się, czy wejść, kiedy nieoczekiwanie jeden z mnichów postawił na najbliższej ławie pełną miskę i uprzejmym gestem zachęcił gościa do jedzenia.

Zupa zdążyła już przestygnąć – jeśli w ogóle kiedykolwiek była gorąca – lecz wygłodniały Xiao i tak pochłonął ją błyskawicznie. Gdy odstawiał naczynie na ławę, wyczuł pod palcami przyklejony do spodu denka skrawek papieru. Widniały na nim pośpiesznie skreślone ideogramy:

SPOTKANIE W OGRODZIE WARZYWNYM

Bakałarza przeszył dreszcz. Przyszedł czas na tajne wiadomości? W co ja się wmieszałem, pomyślał. Tych kilka słów wystarczyło, by wytrącić go z równowagi, utrzymywanej z takim wysiłkiem. Przez chwilę walczył z chęcią odszukania tragarzy i ucieczki lektyką do świata, gdzie jedyną zagadką jest przygotowany przez Modry Lotos repertuar uciesh na najbliższy wieczór. Poczucie obowiązku, który sam na siebie nałożył, zwyciężyło, ale jakoś nie cieszył się tym zwycięstwem.

Schował papier do rękawa i wyszedł jak gdyby nigdy nic. Podczas porannej przechadzki zahaczył był o ogród warzywny, lecz zadowolili się wówczas tylko rzutem oka na puste i ponure pole, okolone drzewkami owocowymi. Teraz miał tam zabawić dłużej.

Przymrozek jeszcze trzymał, ale w miarę, jak słońce wędrowało coraz wyżej, wzmagała się woń ludzkiego nawozu. Xiao czuł, że nie wytrzyma długo. Kiedy usłyszał kroki, doznał ulgi, zmieszanej jednak z niepokojem.

To był mnich, który podał mu był supkę. Zamiast uśmiechu miał teraz na twarzy trudny do nazwania grymas. Złapał bakalarza za ramię i pociągnął za drzewa, pod mur.

– W jaskini obok Wodospadu Grubej Małpy mieszka pustelnik – syknął. – Wiele lat był przeorem Klasztoru nad Wschodnim Brzegiem Rzeki. On wszystko wie, on ci wszystko wyjaśni. Ze mną nigdy nie rozmawiałeś. – Po raz ostatni prysnął śliną w ucho pisarza, odwrócił się i oddalił szybkim krokiem.

Xiao dopiero po dłuższej chwili opuścił ogród. Rozmarzające błoto przyklejało się do butów, ale rozkojarzony, nie unikał najbardziej rozmokłych miejsc. Dawno nie miał takiej ochoty na mocne wino. Ani takiej pewności, że w promieniu wielu li nie znajdzie nawet kropelki. Przeklęte łyse osły!

Deng napatoczył się w samą porę. Pisarz kazał mu odnaleźć Chenga i tragarzy, a sam udał się do Najwyższego Kapłana. Zgodnie z przewidywaniami znalazł go w głównej świątyni. Nie tylko zresztą jego. Bakalarz miał mieszane uczucia, widząc, jak jego miedzianki uchodzą z dymem i hukami petard, odpalanych całymi pękami przez tragarzy.

– Oby dzisiejszy dzień był dla ciebie pomyślny. – Sprowadzony z wyższych pięter pagody przez zaczepionego mnicha Kapłan lekko zgiął się w pokłonie.

– Jak i dla ciebie. – Odkłonił się Xiao i od razu przeszedł do rzeczy: – Wyjeżdżam. Niech przeor się nie oddala, bowiem ja lub sędzia Hu możemy mieć doń pytania.

– Przeor nigdzie się nie oddali, za to mogę ręczyć. – Łysy mężczyzna skinął głową. – Pozostaje mi zatem życzyć postępów w dążeniu do prawdy.

– Poczynię je niechybnie. – Bakalarz zacisnął szczęki. I niczego nie pragnął w tej chwili bardziej niż dotrzymać słowa.

– Panie Xiao – szepnął Deng – proszę wybaczyć, ale czy te psy nie dostały za dużo?

Pisarz nie musiał podążyć za wzrokiem strażnika, by wiedzieć, o kogo chodzi. Popasali w skalnych wnękach Przesmyku Kamiennej Tablicy, w połowie drogi do pustelni. W niszy naprzeciwko tragarze zażywali odpoczynku po słusznym posiłku. Xiao podejrzewał, że musieli wyblagać stawę od mnichów, bo wcześniej nie widział u nich takich sakw.

– Inaczej by nas tu nie zanieśli – odmruknął.

Kiedy kulisi usłyszeli, że mają iść do Wodospadu Grubej Małpy po drugiej stronie górskiego pasma, zażądali dodatkowej zapłaty. Młodzieniec uległ szantażowi i choć starał się nie dać nic po sobie poznać, cały czas zastanawiał się, czy postąpił właściwie.

– Ale te nędzne worki flaków już i tak się obłowiły! – syknął Deng. – Powinni nieść nas za ćwierć tego, co dostali, jeśli nie za darmo!

Bakalarz zagryzł wargi.

– Możesz donieść panu Hu, jak marnuję urzędowe pieniądze.

Od razu pożałował swych słów. Deng skłonił się i odszedł, ale widać było, że poczuł się urażony. Xiao zazgrzytał zębami. Już drugi dzień czuł się jak krucha dżonka unoszona rzeczonym prądem w nieznaną, a teraz jeszcze miał przeciwko sobie strażników. Pogratulować.

Powodowany nagłym impulsem podszedł do tragarzy.

– Możemy już ruszać? Pogoda coraz bardziej się pogarsza.

Lu beknął i wciągnawszy chrapliwie flegmę nosem, splunął obficie na kamienie.

– Jeszcze chwila, przed nami stromizny, musimy odpocząć.

– Jeśli złapie nas deszcz, na nic wam ta chwila nie przyjdzie. Zbierać się, ale już!

Ostry ton Xiao zaskoczył tragarzy, lecz i jego samego. Mężczyźni, ociągając się, wstali i położyli oparte o skałę lektyki na ziemi. Bakalarz z bijącym sercem lecz bez zwłoki wsiał

do swojej, zastanawiając się, czy na najbliższym urwisku nie wylądaje w przepaści. Zbyt wiele pieniędzy mogę im jeszcze dać, pokrzepił się w myślach.

U wylotu przesmyku oczom wędrowców ukazała się rzeczona Kamienna Tablica. Wysoko w skalnej ścianie wykuto przed laty pionowy prostokąt, by wyryć na nim niegdyś pomalowane na czerwono, a dziś zbrązowiałe ze starości ideogramy, głoszące wszem wobec: PRZESMYK KAMIENNEJ TABLICY.

Ledwo opuścili skalne schronienie, w twarze uderzył im wiatr. Pędzące pasma mgły niosły z sobą wilgoć. Xiao wciąż nie mógł przywyknąć do chłodu namokłej odzieży. Miał nadzieję, że u pustelnika będzie można rozniecić ogień i osuszyć się.

Na chwilę osłoniła ich gęsta kępa krzewów, ale zaraz znowu wyszli na otwartą przestrzeń. W trwającym jedno mgnienie oka prześwicie między kłębami mlecznego тумanu Xiao dojrzał jaśniejszą linię ścieżki pnącej się stromo ku nagiej grani. Wtulił szyję w wyłogi chałatu i naciągnął na uszy czepiec. Nie pomogło.

Cheng pierwszy znalazł pustelnię dawnego przeora. Wodospad Grubej Małpy i kaskady poniżej rozcinały na dwie części labirynt skalny pełen grot i wnęk. Choć łatwo było tu o zgubienie drogi, rozdzielili się, by w jak najkrótszym czasie przeszukać jak największy obszar. Teraz wszyscy ruszyli tam, skąd dochodziły nawoływania Chenga.

Przy wejściu do jaskini kisiła się kupa zgniłych warzyw. W długim i wąskim wnętrzu panował przenikliwy chłód, unosił się smród choroby i wydaliny. Wąty starzec leżał na niegdysiejszej macie z bambusa, a teraz już tylko płataninie szczeriałych patyczków. Poza matą, paleniskiem, stosem drewna i kilkoma narzędziami rolniczymi w pustelni nie było żadnych sprzętów.

– Mnie! Słyszysz mnie?

Starzec zrazu nie zareagował na głos Xiao. Dopiero poklepany po zapadniętym policzku otworzył oczy. Bakalarz przedstawił się i zapytał o zdrowie, lecz nie usłyszał odpowiedzi. Pustelnik patrzył tylko i powoli mrugał oczyma. W pewnej chwili chciał unieść rękę, ale opadła bezwładnie.

– Trzeba by go jakoś wzmocnić, bo ledwo zipie – mruknął Xiao do Chenga. – Mamy coś do jedzenia?

– Zostało mi trochę ryżu w liściach bambusa, ale zimny jest, twardy, stary nie przełknie. Może tragarze coś mają? – Strażnik oddalił się, a bakalarz zaczął zachodzić w głowę, dlaczego nie wziął dla siebie żadnej strawy na drogę. Obraz taniej i obfitej kuchni serwowanej pielgrzymom w Klasztorze Rozkwitającego Lotosu utkwił mu być chyba zbyt głęboko w pamięci.

Kulisi mieli do zaoferowania już tylko placki ze słoniną, równie zimne co nadpsute. Pisarz kazał rozpaść ognisko i nagotować wody, a sam przykucnął pod ścianą i potarł zawiane ucho. Starzec cały czas obserwował ich z maty, lecz nadal milczał.

Kiedy zupa z ryżowych zawijańców Chenga zaczęła bulgotać, a w grocie zrobiło się cieplej, pustelnik nieco się ożywił. Powiedzieć, że po kilku łykach polewki tryskał wigorem, byłoby przesadą, ale nabrał na tyle sił, że wyciągniętym z maty patyczkiem nagryzmolił na glinie kilka znaków.

– „Nie mogę mówić, trzeba mi ziół” – odcyfrował z trudem Xiao i westchnął: – Jakich ziół? Skąd tu wziąć medyka?

– Panie, niedaleko jest Wioska Krzywej Skały – odezwał się jeden z tragarzy. – Mieszka tam pewien zielarz, najlepszy w całym powiecie.

– Mniech podróży może nie przetrzymać – mruknął bakalarz. – Dacie radę sprowadzić tu tego zielarza jeszcze dziś?

Mężczyzna się stropił.

– W tym właśnie szkopuł, że ów zielarz starszy jest chyba nawet od tego tu mnicha. Też może nie przetrzymać podróży. – Rozłożył bezradnie ręce.

Xiao byłby jęknął, gdyby nie dziewięć par oczu, wpatrujących się weń wyczekująco. To do niego należała decyzja. Zrobią, co każe. Ale nie wiedział, co postanowić.

– Nagotujcie jeszcze wody. Musimy się rozgrzać i posilić – powiedział wreszcie na pozór obojętnym tonem. Czyjeś usta od razu zaczęły dmuchać na żarzące się drwa, ktoś poszedł z kociołkiem po wodę, ktoś inny wyciągnął z sakwy placki. Xiao przycupnął w mrocznym kącie i ukrył twarz w dłoniach.

Pustelnik stęknął głośno. Sam w sobie byłby to może pomyślny znak, dający nadzieję, że starcowi wraca mowa, ale w tych okolicznościach nie napawał otuchą. Schodzili oto stromą ścieżką przez gęsty las ku wiosce, a każdy gwałtowniejszy ruch lektyki wyrwał jęk z ust mnicha. Wbrew słowom tragarza wioska leżała daleko. Oby nie zbyt daleko dla pustelnika.

Na częstych postojach Deng i Cheng wymieniali się miejscem w lektyce, a Xiao próbował nawiązać kontakt z chorym. Bezskutecznie. Starzec nie otwierał już oczu, sprawiał wrażenie, jak gdyby osuwał się coraz głębiej w bezprzytomność. Bakałarz nieustannie prosił wszystkich bogów Niebios, by tuż za następnym zakrętem postawili pierwsze zabudowania wioski. Wreszcie jego modły zostały wysłuchane.

Osada rozpościerała się od wapiennych skał po jednej stronie do brzegu rzeki po drugiej. Biedne, drewniane domostwa przylegały do siebie, tworząc krzyżujące się ciągi. Nad trzciniowe strzechy wybijała się kryta gontem świątynka.

Chłop obarczony pełnymi ryb nosidłami skierował ich do chaty medyka. Kiedy jednak zatrzymali się pod wskazanym domem, na spotkanie gościom wyszedł nie zgarbiony starzec, a energiczny młodzik.

– Dziad mój niedomaga, od dawna nikogo już nie leczy. Płynicie do Nanshan szukać pomocy.

Sztuka srebra z rękawa bakałarza okazała się bardziej stanowcza niż owo „nikogo”. Niedługo potem w zagraconej i ciemnej chacie legli obok siebie dwaj starcy i jęli pojękiwać w duecie.

Wnuk uzdrowiciela długo badał tętno przeora.

– Co z nim? – zapytał sceptycznie Xiao. Nie ufał zbyt jego umiejętnościom młodzika.

– Stary jest. Można go podleczyć, ale długo nie przetrzyma. Wnet spotkają się z moim dziadem na złotym moście w drodze do następnych wcieleń... – zadumał się zapytany.

– Lub na srebrnym moście w drodze do Niebios – odpowiedział bakałarz. Wnuk uzdrowiciela skinął głową. Chwilę milczeli.

– Muszę z nim porozmawiać – przerwał ciszę Xiao. – To bardzo ważne. Napisał wcześniej, że zioła mogą przywrócić mu mowę.

Młodzik długo przeglądał baterię nalewek na ścianie chaty.

– Być może da się coś zrobić. Trzy sztuki srebra za surowce i dwie za pracę. Płatne z góry. Proszę przyjść jutro.

– Jutro? – westchnął Xiao; na wysokość zapłaty nie miał już siły narzekać. Milcząc odliczył pieniądze. Młodzik chwilę przyglądał się bakałarzowi badawczo, a potem zdjął z półki gliniany dzbanuszek.

– Pomoże i na ból ucha, i na wyczerpanie umysłowe.

– Ile?

– To darmowa próbka. Jutro kupisz, panie, dwa duże dzbany, zaręczam.

Xiao wziął, podziękował i wyszedł. Dzbanuszek ziołowej gorzałki wychylił zaraz za progiem. Mało nie rymnął jak długi na ziemię, ale zdzierzył i po jakimś czasie był w stanie zrobić parę kroków.

– Zdamy z powrotem do klasztoru przed zmrokiem? – wychrypiął do rozciągniętych na trawie tragarzy.

W oczach mężczyzn błysnęła żądza mordy.

– Panie, w ciągu tych dwóch dni przeszliśmy tyle, co zwykle przez tydzień! Musimy odpocząć!

– Zarobiliście też tyle, ile przez tydzień albo i więcej. A zarobicie drugie tyle, jeśli dowieziecie nas do klasztoru przed zmrokiem.

Było widać, jak w tragarzach zmęczenie walczy z chciwością. Wreszcie Lu mruknął „Zobaczymy, popytamy” i cała szóstka zniknęła między nędznymi zabudowaniami.

Xiao poczuł, jak dopada go zmęczenie. Uwalił się w lektyce i ukołysany ciszą pogrążył w drzemce.

Do rzeczywistości przywrócił go zapach gotowanego mięsa. Uniósł powieki i zobaczył przed sobą parującą psią nogę.

– Kupiłem od jednej baby – wyszczerzył się Cheng.

Bakałarz łapczywie wgrzył się w gorące mięso. Kiedy tragarze wrócili, wyrzucał właśnie oskrobane do czysta kości w krzaki.

– Jest krótsza droga. Spłyniemy łodzią po Czystej Rzece aż do Kaskad Przyczajonego Żółwia. Stamtąd do klasztoru prowadzi stara ścieżka, powinniśmy zdążyć przed zmrokiem.

Rozgrzany posiłkiem lubo gorzałką Xiao skwapliwie pokiwał głową. Niebawem stanęli nad mętym i wezbrany nurtem. Łodzie już na nich czekały. Wprawdzie rękaw pisarza zelżał o następne sztuki srebra, ale rozpiełała go pewność siebie. Czuł, że będzie potrafił zmusić Najwyższego Kapłana do zorganizowania spotkania z przeorem. A potem wszystko się wyjaśni.

Zastrzyk energii, jakim był dla tragarzy błysk srebra, nie wystarczył na długo. Gdy na którymś z kolei wzniesieniu lektyka z Dengiem mało nie spadła kilkaset kroków ze zbocza, przejęty Xiao zdecydował, że strażnicy pójdą pieszo, a kulisi wymieniać się będą przy jego lektyce. Kiedy jednak w narastających ciemnościach jeden z niosących upadł, tłukąc kolano, przestraszony nie na żarty bakałarz postanowił także skorzystać z własnych nóg.

Wyczerpani, dotarli wreszcie do znajomego kamiennego muru. Furtian wpuścił ich bez słowa. Najwyższy Kapłan nie wydawał się zaskoczony widokiem pisarza sądowego.

– Witam ponownie w naszym skromnym klasztorze. Czemu zawdzięczamy kolejną wizytę? – spytał z uprzedzającym uśmiechem, wychodząc z głównej świątyni.

Xiao zdążył już stracić poprzednią pewność siebie, ale nadal chciał zrealizować to, co sobie postanowił.

– Trzeba mi widzieć się z przeorem. Najlepiej jeszcze dzisiaj – rzekł najmocniejszym głosem, na jaki było go stać.

Kapłan pokręcił ze smutkiem głową.

– Niestety, przeor jest niezwykle słaby. Obawiam się, że nękanie go rozmową będzie wykluczone co najmniej przez kilka dni, jeśli nie...

– To nie jest kwestia do dyskusji, Kapłanie – przerwał bakałarz. Udawany smutek mnicha rozdrażnił go naraz bardziej niż protekcyjna grzeczność. – Stoi za mną autorytet władz powiatu. Jeśli będziecie utrudniać śledztwo, jamen unieważni wasze pięciokolorowe świadectwa, a klasztor zostanie zdelegalizowany.

W czerwonym świetle lampionów poblady nagle Kapłan wyglądał jak zjawa. Chwilę przetrwał w milczeniu słowa Xiao, by wreszcie wycedzić przez zaciśnięte zęby:

– Skoro tak, zorganizuję spotkanie. Proszę tylko o czas do jutra rana. Przeor już śpi i nieoczekiwanie teraz obudzony nie będzie w stanie prowadzić rozmowy.

Bakałarz przytaknął z dobrze udaną łaskawością.

– Będę czekał w tej samej kwaterze, co ostatnio. I obym nie czekał zbyt długo – dodał z bijącym sercem. Kapłan pochylił głowę, lecz przez twarz przebiegł mu dziwny grymas, ni to niepokoju, ni to determinacji.

Do skromnej celi chyba nikt dotąd nie zajrzał, bo w misce stała ta sama woda, a koc leżał pomięty tam, gdzie padł rzucony rano. Młodzieniec nabrał świeżej wody z cebra na korytarzu i oszukawszy burczący brzuch kilkoma łykami, walnął się na posłanie.

Pomimo zmęczenia sen nie przychodził. Xiao leżał skulony na macie, patrzył w ciemność i badał swe odczucia. Wreszcie musiał przyznać przed samym sobą, że mimo strachu czeka na wizje senne. Rozstrajały go nerwowo, ale nie mógł dłużej udawać, że są przypadkowe. Chyba pójdę do jakiegoś wróżbity, pomyślał. Niech wyjaśni, skąd mi się to bierze. Umościł się jak mógł najwygodniej i zamknął oczy.

Resztki jedzenia w okalającym usta zaroście, ropiejąca blizna na policzku, czoło upstrzone krostami, przekrwione oczy... Trzy pary oczu... A w nich zarys rozmówcy. To jego tak chciwie słuchają, to jemu tak skwapliwie przytakują. Bliżej, bliżej... Mroczna sylwetka jaśnieje, oko mruga, zachodzi warstewką wilgoci, sylwetka nabiera kolorów...

Pomarańczowa opończa.

Xiao obudził się, kaszląc ciężko. Palilo go w piersiach, gardło miał opuchnięte. Mróz ścisnął bardziej niż ostatniej nocy. Wygramolił się spod koca i długo odkaszliwał do otworu kloacznego gęstą flegmę.

Klasztor pokryty był szronem. Cienkie buty, nadwyreżone już wszechobecną wilgocią, chłoneły wodę niczym bibuła. Zziębnięty bakałarz poczuł się lepiej dopiero, kiedy w jadalni dostał słabej, lecz gorącej herbaty. Jego wdzięczny uśmiech spotkał się jednak z obojętnymi minami. Siedząc na ławie, na próżno rozglądał się za mnichem z ogrodu warzywnego. Tak zastał go Cheng.

– Panie Xiao, Kapłan polecił przekazać, że przeor wzywa.

Myślałby kto, że to on chce się ze mną widzieć, a nie odwrotnie, pomyślał bakałarz, bez zwłoki podążył jednak za strażnikiem.

Kwaterna przeora mieściła się w niepozornym budynku z dala od centrum klasztoru. W progu stał Najwyższy Kapłan. Widząc, że nadchodzą, gestem zaprosił ich do środka i bez słowa zniknął we wnętrzu.

Przeor siedział ze skrzyżowanymi nogami na podwyższeniu. Odziany był w pozbawioną ozdób ciemną szatę, jedynie na głowie nosił pomarańczowy czepiec. Rządka, biała broda spływała mu aż do pasa. Nie poruszył się, kiedy weszli. W sieci zmarszczek znaczących sędziwą twarz trudno było poznać, czy ma otwarte oczy.

– Przeor mówi z wielkim trudem – rzekł Kapłan. – Tylko ja potrafię go zrozumieć. Wysłucha pytań, ale odpowiedzi przekażę ja.

Xiao nie był zadowolony z takiego stanu rzeczy, lecz nie pozostawało mu nic innego, jak przystać na te warunki

– Czcigodny przeorze! – zaczął powoli i wyraźnie. – Zadam ci kilka pytań. Nie wątpię, że wiesz już o wydarzeniach, jakie zaszły w Klasztorze nad Wschodnim Brzegiem Rzeki. Dlatego pragnę z twych ust usłyszeć, jak to możliwe, że pomimo tak niewielkiej odległości

dzielącej oba klasztory nie wiedzieliście nic o zniknięciu kilkudziesięciu mnichów i śmierci pięciu osób, dopóki nie usłyszeliście tych wieści ode mnie?

Przeor zaczął poruszać wargami. Kapłan nachylił się błyskawicznie, słuchając niewyraźnego mamrotania starca.

– Z wielkim bólem przeor przyjął owe straszne doniesienia. – Wyprostował się Kapłan, kiedy usta leciwego mnicha na powrót wtopiły się w płataninę głębokich zmarszczek. – Nie sposób wprost wyrazić żalu, jaki przeszył jego jestestwo w związku z tą tajemniczą tragedią. To powiedziawszy, podtrzymać musi, że zdarzenie było dlań całkowitym zaskoczeniem. Wbrew pozorom klasztory położone są od siebie na tyle daleko, że przy niepogodzie nie ma między nimi żadnej łączności. Szanujemy też wzajemnie swe odosobnienie i poza najważniejszymi świętami nie składamy sobie wizyt.

– Co w takim razie mogło wydarzyć się w Klasztorze nad Wschodnim Brzegiem Rzeki? – zapytał bakałarz.

– Pragnienie wyjaśnienia tej tajemnicy nie opuszcza żadnego z tutejszych mnichów nawet we śnie – przekazał słowa przeora Kapłan. – To rzekłszy, należy być świadomym, że jeśli Niebiosa pozwolą, prawda ujrzy światło dzienne, jeśli zaś postanowią zakryć ją przed oczyma ludzi, tak też się stanie bez względu na podejmowane wysiłki. Toteż przeor pokłada całą ufność w wyroku Niebios i z pokorą wstrzymuje się od podejmowania jakichkolwiek kroków w celu wyjaśnienia tajemnicy.

No to rozgrzewkę mamy za sobą, zdecydował Xiao i zadał z dawna przygotowane pytanie:

– Jakie źródła ma animozja między oboma klasztorami?

Najwyższy Kapłan łypnął na bakałarza ze złością. Ten znał już jego odpowiedź, ale nie miał powodu, by poddawać w wątpliwość słowa pielgrzymów. O ile wyjaśnienie przeora nie będzie przekonujące.

– Nie ma żadnej – padło po dłuższej chwili. – Dowodem tego są bliźniacze nazwy naszych klasztorów. Jedyne, co nas dzieli, to płynąca między nami rzeka, z której świętych wód korzystamy jednak pospołu i w harmonii.

– Skąd zatem obrazy na ścianach pagody zaprzyjaźnionego klasztoru, przedstawiające walki mnichów?

Trafił w dziesiątkę. Kapłan zacisnął zęby, przeor na moment rozwarł szeroko powieki. Nie spodziewali się, pomyślał z satysfakcją Xiao.

– Obrazy owe dotyczą dawnych wojen mnichów – Kapłan odrzekł w końcu zniecierpliwionym tonem. – To ponury okres w dziejach Świętej Góry. Walki rozgrywały się wiele dziesiątków lat temu i nikt poza najstarszymi mnichami już o nich nie pamięta. Nasze bliźniacze klasztory stały po jednej stronie w tej walce, czym zacieśniły swą braterską więź.

– Jaka więc przyczyna inna niż międzyklasztorna waśń każe pielgrzymom wybierać między modłami w tym i tamtym klasztorze?

Z gardła przeora wydobył się nieartykułowany dźwięk. Kapłan nie musiał się nachylać, by odpowiedzieć pisarzowi.

– Nie ma żadnej przyczyny i nie ma żadnej waśni. Pielgrzymi kłamali w jakichś swych ciemnych celach i nie nas należy o to pytać. Powiada przysłowie: Łatwiej sprzedać w chwilę worek kłamstw, niżli w tydzień szczyptę prawdy.

– Cóż mogłoby motywować pielgrzymów... – zaczął Xiao, ale wtedy stała się rzecz nieoczekiwana.

Przeor zatrzęsł się cały, otworzył szeroko oczy i wstał o własnych siłach, wołając drżącym głosem:

– Uchodź precz, małpi pomociu! Nie hańb świętej ziemi tego klasztoru swymi niecnymi stopy! Uchodź precz i zgnij na poboczu drogi, gdzie pasie się bydło! Nie każ mych

starych uszu swymi bezecnymi słowy! Obyś nigdy... – zakrztusił się, dopadł go paroksyzm kaszlu. Kapłan rzucił się ratować starca, śląc w kierunku pisarza mordercze spojrzenie.

– Wyjdźcie, proszę was – syknął, ale ton jego głosu przypominał bardziej rozkaz niż prośbę.

Bakałarz nie kazał sobie powtarzać. Na zewnątrz wciągnął głęboko w płuca zimne powietrze.

– Panie, zachowanie przeora można by podciągnąć pod obrazę urzędnika cesarskiego – mruknął Cheng.

Xiao uśmiechnął się i spojrzał w górę, gdzie pomiędzy dachami świątyń sterczała pagoda. Jej górne piętra ginęły we mgle. Nie uzyskał żadnych szczerych odpowiedzi, a przecież dowiedział się bardzo wiele. Kaszlnął i skinął na strażnika.

– Nic tu po nas.

Tragarze byli już po śniadaniu. Kulis ze stłuczonym kolanem nie mógł chodzić, wraz z bratem chciał zostać w klasztorze. Xiao niechętnie na to przystał. Pozostali z ociąganiem wzięli na ramiona pręty; strażnicy mieli zmieniać się w lektyce. Przy bramie nikt ich nie zatrzymywał.

– Do Wioski Krzywej Skąły – polecił pisarz, a widząc zmęczone spojrzenia, dodał: – Muszę jeszcze porozmawiać z pustelnikiem. Potem, o ile nic nieprzewidzianego się nie wydarzy, spłyniemy rzeką do Nanshan.

Nieprzewidziane zdarzyło się niespełna dwie li od klasztoru, w rzadkim, sosnowym zagajniku. W zakolu rzeczki, na przybrzeżnych kamieniach, osiadło ciało. Pomarańczowa opończa z daleka przyciągała wzrok.

Cheng z Dengiem wywlekli zwłoki mnicha z wody. Mężczyzna miał zgruchotaną potylicę, a na ciele kilka otarć.

– Mógł poślizgnąć się, gdy przechodził na drugi brzeg – stwierdził Deng po zakończeniu oględzin. – Uderzył głową w kamień, śmierć na miejscu.

– Równie dobrze mógł oberwać pałką, kiedy uciekał – ocenił Cheng. – Albo oberwać nią w jakimś innym miejscu, do rzeki wrzucono go potem.

Xiao długo patrzył na twarz nieboszczyka, gryząc wargi. Rozpoznał go, choć widzieli się tylko dwa razy, a rozmawiali raz. Był to mnich, który poradził mu udać się do pustelni obok Wodospadu Grubej Małpy.

Tragarze zaczęli się niecierpliwie.

– Panie, to nie jest dobre miejsce. – Lu przebierał nogami. – Oddalmy się stąd jak najprędzej, a tego trupa niech zwierzyna rozwłóczy.

Xiao uciszył ich ruchem ręki. Nieboszczyk bardzo komplikował sytuację. Bakałarz chętnie skorzystałby z rady tragarza, ale wiedział, że nie powinien zostawiać ciała na pastwę dzikich zwierząt. Mogło stanowić ważny dowód w sprawie i sędzia na pewno chciałby je obejrzeć.

– Trzeba znieść zwłoki na dół – zdecydował.

Oburzenie tragarzy wypłoszyło z pobliskich krzewów wszystkie ptaki.

– Dostojny panie, błagamy, tak się nie godzi! Jesteśmy znużeni, dodatkowy ciężar...

– Strażnicy pójdą pieszo.

– Ale trup w lektyce? To niechybny pech! Jeśli nawet przeżyjemy teraz zejście, co byłoby istnym cudem, w przyszłości się to na nas zemści! Osierocimy rodziny...

– Zapłacę dodatkowo.

Nawet ta obietnica nie uciszyła protestów.

– Żywy człowiek sam się trzyma, trupa trzeba przywiązać, a my lin nie mamy... Cuchnąć zaraz zacznie, jadowite muchy przywabi, pomrzemy w męczarniach... Oszczędź nam wszystkim nieszczęścia!

Bakałarz zadumał się. Branie z sobą trupa rzeczywiście nie wyglądało na dobry pomysł. Ale cóż pozostawało innego?

– Cheng, Deng, zaszyjecie się w lesie ze zwłokami, tylko dobrze, aby nikt was nie widział. Ja udam się do Nanshanu, a potem do Hengshanu. Postaram się wrócić z sędzią jak najszybciej, lecz pewnie będziecie musieli wytrzymać tu co najmniej jedną noc.

Strażnicy spojrzeli na siebie ponuro.

– Tak, panie. – Skinął Cheng, a zaraz po nim Deng, ale znać było, że nie uśmiecha im się ta perspektywa.

Tragarzom wręcz przeciwnie.

– Dostojny pan będzie na dole szybciej niż się spodziewa! – Rozpromienili się. – Już nasza w tym głowa!

Xiao uzgodnił ze strażnikami sygnał rozpoznawczy – po trzykrotnym zadęciu w trąbkę mieli wyjść z kryjówki na spotkanie orszaku sędziego – i pożegnawszy się, wsiadł do lektyki.

Z lekkim bakałarzem, bez ciężaru, jakim byli postawni strażnicy, sunęli rzeczywiście dużo szybciej. Xiao miał nadzieję, że pustelnik odzyskał mowę i wszystko wnet wyjaśni, a jeszcze większą, że pan Hu już wrócił i dowiedziawszy się, gdzie pojechał pisarz, wyruszył zawczasu ku Świętej Górze. Młodzieniec chciał jak najprędzej zreferować sprawę i przelać odpowiedzialność na znaczniejsze barki.

Kamień poleciał w dół zbocza, odbił się od skalnej półki poniżej i zniknął. Wirująca mgła miłosiernie skrywała przed oczyma Xiao bezdenną przepaść. Zaciskał kurczowo zbiegające palce na prętach lektyki, ale jego strach nie wzbudzał litości tragarzy.

– Dawaj srebro, psia padlino! Nie będziemy dłużej czekać! Jak zlecisz w dół, pożałujesz swego skąpstwa!

Xiao zacisnął powieki. Nie mógł patrzeć na stromiznę, ku której przechylała się jego lektyka, ale wciąż jeszcze miał przed oczyma obraz kamienia tonącego we mgle i ciągle słyszał, jak trzeszczą bambusowe pręty. Otwierał właśnie usta, kiedy tragarze znów zatrzęśli lektyką.

– Jeszcze się ociągasz, pokurczu? To cię nauczy!

Jeden z tragarzy pchnął swój koniec bambusów ku przepaści i skoczył, by złapać drugiego w pól. Lektyka zakolebała się i opadła na strome zbocze, bakałarz poleciał przodem na twarde pręty. Jęknął, kiedy zatrzymały go ramiona. Targnęły nim impet i ból.

– Wyciągnijcie mnie! – zawołał płacząco.

– Dałeś się przekonać, psi ochłapie? Szykuj już srebro, nie będziemy czekać – zaśmiał się Lu. Kulisi zaczęli wciągać lektykę z powrotem na drogę, prowadzącą wysoko po wąskiej grani.

Kiedy tylko Xiao wyczuł pod nogami stabilny grunt, odepchnął się rękoma od górnych prętów lektyki i osunął w dół, przez otwór na końcu siedziska. Ułamek chwili balansował, kucając na krawędzi drogi, za którą zaczynało się strome zbocze, ale zdzierzył, sięgnął za plecy, namacał sprzączkę i energicznie wyciągnął z pasa ukryty miecz. Giętka klinga jęknęła i zeszywniała.

Zamachnął się w samą porę, by ciąć w nogi nadbiegającego tragarza. Mężczyzna wrzasnął i straciwszy równowagę, zleciał z rozpędu w przepaść. Bakałarz poderwał się i już wyprostowany stawiał czoła dwóm kulisom z wyciągniętymi nie wiedzieć skąd bambusowymi pałkami. Niezgrabnie uchyliwszy się przed ciosem, ciął pierwszego napastnika w szyję. Ugodzony zacharczał, a potem padł na kolana. Zanim bakałarz podniósł broń, pałka Lu dosięgła jego ramienia. Nieco precyzyjniej wymierzona trafiłaby wyżej, w szyję lub w głowę, kończąc całe starcie. Młodzieniec krzyknął i zatoczył się z bólu, ale tnąc powietrze na oślep,

zdołał trafić mężczyznę w policzek. Tragarz wypuścił kij z dłoni, rękoma sięgnął ku twarzy, cofnął się i sturlał w dół drugiego, łagodniejszego zbocza, niknąc we mgle.

Z tłukącym się boleśnie w klatce żeber sercem bakałarz rozejrzył się za czwartym tragarzem, ale uchwycił tylko zarys uciekającej sylwetki. Widoczność sięgała kilkudziesięciu kroków, rozplywająca się we mgle grań wyglądała jak droga w zaświatach. Xiao stał w środku mlecznej nicości, za całą rzeczywistość mając kawałek ścieżki, dwie przewrócone lektyki i ciało w kałuży krwi. Wiatr świszczął na skalnych krawędziach, blade pasma przelatywały niczym zjawy, niosąc zimną wilgoć.

Pod Xiao ugięły się nogi, miecz wypadł z omdlałej dłoni. Młodzieniec zamknął oczy, legł ciężko na kamieniach i pogrążył się w dziwnym letargu, gdzie jedynym dźwiękiem był loskot jego serca, a wszystko miało kolor czerwieni.

Woda była lodowata, lecz Xiao zacisnął zęby i trzymał głowę pod tryskającą strugą, dopóki nie poczuł bólu, który wyгнаł z umysłu niechciane myśli i przesłonił straszne obrazy. Dopiero wtedy cofnął się i osuszył czuprynę skrajem chałatu.

Pomogło. Upinając włosy, bakałarz rozejrzył się po skalnym labiryncie, otaczającym wąską boczną odnogę Wodospadu Grubej Małpy. Wokół były tylko skały, krzewy i mgła. Zniknął czubek miecza rozorujący wciąż na nowo policzek tragarza, przybladły wszechobecne plamy czerwieni. Xiao wreszcie mógł myśleć klarownie.

Klucząc między głazami, skupił się na czekającej go w Wiosce Krzywej Skały rozmowie z pustelnikiem. Oby medyk dobrze się sprawił, pomyślał z nadzieją. I oby miał jeszcze na składzie tę ziołową nalewkę.

Kilka razy gubił drogę. Ścieżka wiła się najpierw ledwo dostrzegalnie pośród szachownicy skał, potem snuła między rzadką roślinnością łagodnego zbocza. Dopiero w lesie mógł przyspieszyć kroku, zamiast kontemplować mylące rozstaje.

Zimny prysznic, choć pomógł ochłonać, podrażnił zaleczone ucho. Ból zaatakował bakałarza ze zdwojoną mocą, pulsujący szum zlewał się z wiatrem w koronach drzew. Przy kaszlu aż dudniło mu w skroniach. Na łatwiejszych zejściach Xiao zaczął zbiegać, byle prędzej znaleźć się w wiosce, ale gwałtowne ruchy rozbudziły stłuczone ramię, a zimny powiew prowokował do wzmożonego kaszlu.

Wreszcie, dysząc chrapliwie, wpadł między zabudowania. Przed chatą medyka stało kilkunastu ludzi, lecz bakałarz przepchnął się i wszedł do środka.

– Jak się czuje pustelnik? – zawołał od progu.

Wnuk uzdrowiciela wyszedł z cienia w kącie chaty.

– Żyje. Ale nie ma dlań nadziei; umrze jutro, a najdalej za dwa dni.

– Mówił coś?

Młodzik pokręcił głową.

– Jest nieprzytomny.

Xiao zagryzł wargi.

– Mogę go zobaczyć?

– Niebawem. Najpierw przeniosę ciało mego dziada do świątyni przodków.

Nim bakałarz zdołał odpowiedzieć, młodzik wyszedł do zgromadzonych przed domem ludzi. Po chwili rozległ się lament i do środka wstąpili pogrążeni w żalu krewni.

Xiao przeczekał pierwsze akordy żałoby, snując się po ulicy. Kiedy wyniesiono wreszcie zwłoki, nieśmiało zajrzał do wnętrza.

– Czy mogę...

– Tak.

– Zechciej przyjąć moje najszczersze...

Młody medyk skinął w podzięcie.

– Dziad nie zdążył przekazać mi całej swej wiedzy. A była ogromna. Nie ma ksiąg, których by nie zgłębił. Znał doskonale „Wykaz i stosowanie leków”, „Zasadnicze pouczenia Żółtego Cesarza”, „Księgę pulsu”, „Badanie tętna przez starożytnych”, „Trzyście przepisów na dodanie i ujęcie”, „Traktat o gorączce i innych schorzeniach”, „Tysiąc cudownie skutecznych lekarstw”, „Boski środek na długowieczność”... – mężczyzna mógłby chyba w nieskończoność wymieniać tytuły, ale zanim bakałarz się zniecierpliwił, zmienił temat: – oraz wiele innych. Rozróżniał zakłócenia pierwiastków jin i jang, siedem drgnień tętna od przegubu od góry i osiem od spodu, potrafił wyczuwać tętno żyłne na wszystkie cztery sposoby. Razem z nim odeszło wiele receptur i kuracji, które sam obmyślił. Bez jego mądrości będzie mi trudno leczyć. Ale tak, jak on był samoukiem, tak i ja wszystkiego z czasem się nauczę. Księgi czekają, a jak powiada przysłowie, zawsze warto otworzyć księgę.

Chwilę trwali w milczeniu. Wreszcie Xiao rzekł półgłosem:

– Czy mnich leży tam, gdzie...

– Nie, przeniosłem go do innej izby. Chodź za mną.

Ciepłą klitkę niemal w całości wypełniało obszerne, ceglane łoże kang, na którym spoczywał pustelnik. Wyglądał, jakby już umarł. Medyk ułożył mu pod nosem jedwabne nici. Wygięły się i opadły, by po chwili wygiąć się znowu. Starzec dychał jeszcze.

Medyk pogmerał chwilę przy piecyku pod kangiem.

– Czas jego życia dobiega końca. Dziesięciu sędziów podziemnego Królestwa Ciemności rozeszło już za nim posłańców. Niebawem przybędą, a wtedy nici opadną na zawsze.

– Mówiłeś przecież, że będziesz potrafił przywrócić mu mowę. Zapłaciłem srebrem – przypomniał Xiao. Rozwiązanie tajemnicy było tak bliskie, a tak nieosiągalne, zamknięte w czaszce umierającego starca.

Medyk odezwał się po chwili milczenia:

– Można skoncentrować resztki jego siły życiowej, by obudził się i mógł mówić. Ale wtedy nie umrze jutro, a jeszcze dziś, i to przed zachodem słońca.

Bakałarz otworzył usta, ale zaraz zamknął je z powrotem. Patrzył na wyniszczone ciało i wynędzniałą twarz pustelnika, i chciało mu się płakać.

– Cóż takiego może ci ten starzec powiedzieć, że chcesz przed czasem posłać go w zaświaty? – szepnął medyk.

Xiao nie był w stanie wydusić słowa. Próbował coś, cokolwiek, odrzec, lecz na języku miał supeł. Młody mężczyzna spoglądał nań długo, by wreszcie wyjść i po chwili wrócić z kamionkowym dzbanuszkami.

– Wlej mu do ust kilka kropel i czekaj. A potem wywiedz się szybko, czego potrzebujesz.

Podał pisarzowi naczynie i zostawił samego z chorym.

Bakałarz długo stał w bezruchu, patrząc na drgające nici pod nosem starca. A później usiadł na kangu, niepewnymi palcami rozchylił mnichowi wargi i wlał między nie pięć kropel ciemnej cieczy.

Nie czekał długo. Klitkę wypełnił świszczący oddech, kang zadrżał od krótkich, lecz gwałtownych konwulsji. Starzec wyprężył się, a potem otworzył oczy i spojrzał mętnym wzrokiem w pobludłą twarz Xiao.

– Czcigodny przeorze – wyszeptał bakałarz zbielełymi ustami – wybac, że niepokoję cię na łożu boleści, ale twoi dawni podopieczni zniknęli, być może już nie żyją, a ja muszę znaleźć winowajcę.

Pustelnik nie zareagował. Młodzieniec czuł się nieswojo pod jego nieruchomym spojrzeniem. Starzec nie mrugał.

– Przeorze – spróbował jeszcze raz – coś bardzo złego stało się w Klasztorze nad Wschodnim Brzegiem Rzeki. Podejrzewam, że odpowiadają za to mnisi z Klasztoru nad Zachodnim Brzegiem Rzeki. Pewien człowiek oddał życie, bym mógł do ciebie dotrzeć i dowiedzieć się prawdy. – A widząc, że starzec nadal nie reaguje, dodał desperacko: – Jaka waśń dzieli wasze klasztory?

Pustelnik otworzył usta. Zrazu wydobył się z nich tylko nieskładny jęk, lecz wnet popłynęły słowa; ochryple, urywane, ale zrozumiałe:

– Dzieckiem wtedy byłem, słyszałem tylko strzępy... Kiedy zostałem nowicjuszem, z czasem dowiedziałem się więcej... Wojna niesłychana, wojna między zakonami Świętej Góry... Wszyscy walczyli ze wszystkimi, a cel każdy miał swój... Wielu mnichów życie postradało, nim kres wojnie położono. Klasztor Płomiennego Feniksa znał sztuki przedwieczne a zakazane... Przywołali demony piekielnych otchłani, by zniszczyć Klasztor Nefrytowego Obłoku... Nie znali jednak natury demonów. Uwolnione stwory piekielne potwornością swą zabiły wszystkich, co w klasztorze wówczas byli... I szczęście się stało, że tylko zabiły... Bo śpiących demony by porwały ze sobą i uczyniły na swe podobieństwo... – Starzec zamilkł, żeby po chwili podjąć: – Przeżyli tylko ci, co na pielgrzymkach albo w niewoli innych klasztorów pozostawali... A demony rozproszyły się po Świętej Górze i siać jęły zamęt. Opuścić Góry nie mogły, Pierścień Pagód trzymał je i dusił... Szał demonów zakończył jednak wojnę. Mnisi ze wszystkich zakonów zjednoczyli się pod wodzą Klasztoru Niebiańskiego Tygrysa... Demony okiełznali i uwięzili w Klasztorze Nefrytowego Obłoku... Klasztor Płomiennego Feniksa zamieszkali mnisi zwolnieni z kajdan i przybyli z pielgrzymek... Zapanował pokój...

Starzec zamilkł. Cały ten czas jego nieruchomy wzrok świdrował twarz Xiao. Zlany potem bakałarz zapytał:

– Te klasztory... Gdzie one leżą?

Długo trwało ciężkie milczenie.

– Po wojnie nazwy klasztorów zmieniono na znak zgody. Ale istotnie nie zmieniło się nic... Jeno przez rok mnisi nosili bliźniacze cieliste opończe na znak braterstwa... Potem wpierw jedni, a potem drudzy wrócili do swych dawnych barw... Mnisi Nefrytowego Obłoku do zgniłej zieleni, a Płomiennego Feniksa...

– ...do ognistego oranżu! – krzyknął bakałarz.

– Odwiecznej niezgody nie odmienią barwy – ciągnął coraz ciszej starzec. – Kiedy zostałem przeorem, próbowałem nas zbratać, ale przeor drugiego klasztoru wciąż pamięta, że moi poprzednicy wzięli go za młodu jako jeńca... Zawsze odtrącał mą rękę... Porzuciłem klasztor, chcąc dokonać żywota w samotności...

Pustelnik przymknął oczy. Ostatnie słowa Xiao odczytał z jego warg. Zaniepokojony klepnął starca po policzku, wreszcie chwycił go za ramiona i uniósł. Cienkie jak jedwab powieki uchyliły się lekko.

– Dlaczego uwolnione demony nie zabiły też mnichów Nefrytowego Obłoku? – dopytywał się bakałarz. Starzec gasł w oczach.

– Dzieli i chroni klasztory święta woda rzeki... – wyszeptał. – I póki czystą będzie, dzielić i chronić nie przestanie...

Nici zadrżały po raz ostatni i znieruchomiały. Xiao puścił zwiotczącego pustelnika, a potem zacisnął pięści. Nie czuł, jak paznokcie wbijają mu się w ciało.

Próżny dzban roztrzaskał się na kamieniach. Xiao miał już otworzyć drugi, kiedy z mgły wyłoniła się wąska łódź i podpłynęła do brzegu.

Bakałarz skwapliwie skorzystał z wyciągniętej ręki rybaka, odzianego w płaszcz ze słomy ryżowej. Nogi zaczęły się już młodzieńcowi pętać, ale ucho i ramię nadal bolały, a wzrok pustelnika wciąż świdrował.

– Do Nanshan, prędko – powtórzył. Rybak skinął głową. Pierwszą sztukę srebra już dostał, drugą miał otrzymać na końcu podróży. Widać spieszo mu do niej było, bo bez ociągania zanurzył w wodzie bambusową żerdź i odepchnął się mocno. Zresztą nic dziwnego – tak hojnego pasażera pewnie nigdy dotąd nie miał i mieć już nie będzie.

Brzeg wkrótce zniknął w białym тумanie. Xiao siadł wprost na bambusach pokładu, nie zważając na wodę wsączającą się w chałat i kormoranie odchody, którymi upstrzony był tył łodzi. Ptak używany do łowienia ryb został na lądzie. W końcu nie płynęli na połów.

Rzeka wiała się wąską doliną między skalnymi ścianami. Sunęli w całkowitej ciszy, mąconej od czasu do czasu tylko pluskiem niewidocznej ryby czy wyciąganego kija. Bakałarz sączył ziołową gorzałkę z dzbana i popadał w błogosławione otępienie.

Powoli w ciszę wkraść się szum, a potem huk pędzącej wody. Rybak trącił bakałarza w ramię.

– Niedaleko Kaskady. Musimy je obejść.

Szybciej niż Xiao się spodziewał, przed wywinętym dziobem łodzi pojawił się kamienisty brzeg. Niezgrabnie wyskoczył na ląd, zanurzając się po kostki w wodzie.

– Musimy przenieść łódź. – Mężczyzna zatrzymał oddalającego się bakałarza. Xiao odwrócił się i zmierzył go wzrokiem. Szeroki kapelusz nie pozwalał dostrzec twarzy.

– Zapłaciłem srebrem nie po to, żeby dźwigać szlamowate bambusy – wybełkotał. Niezrażony rybak zaczął wyciągać łódź na brzeg.

– Inaczej nie dotrzesz panie do... – zaczął, kiedy nagle zza mlecznej zasłony dobiegł ich trzask tratowanych krzewów i ogłuszający ryk.

Bakałarz rzucił się do łodzi, zderzając się z mężczyzną. Przelecieli obaj nad pokładem i wpadli do wody. Lodowaty dreszcz otrzeźwił młodzieńca. Zwolniona ze sznura łódź uległa silnemu prądowi. Rybak skoczył za nią wpław, a Xiao złapał się głazu, o który wyrznął przed momentem, i wpatrzył się ze strachem w brzeg.

Dłuższą chwilę poza hukami Kaskad nie było słychać niczego. Raptem mgła pociemniała i skryzalizowała się w sylwetkę tygrysa.

Król Gór podszedł do brzegu i nie zważając na skulonego za kamieniem zaledwie parę kroków dalej bakałarza, zanurzył w wodzie potężny pysk. Kiedy skończył pić, parsknął, strzelił kroplami z wąsów i obróciwszy się płynnie, zniknął na powrót we mgle.

Przeszywające zimno pokonało obezwładniający strach i wyгнаło Xiao z wody. Stał drżący na kamieniach, gdy wtem opar od strony rzeki znów pociemniał. Na brzegu stanął rybak. Miał gołą głowę; kapelusz musiał spłynąć z nurtem.

– Łódź wciągnęły Kaskady. Nie dopłyniemy do miasta. A ja muszę zrobić nową łódź – stwierdził po prostu, zdejmując ubranie.

– Nie chcę już do miasta – zaszczekał zębami Xiao. Czuł się trzeźwy jak niemowlę i tak samo bezbronny. – Trzeba mi do Klasztoru Niebiańskiego Tygrysa.

Mężczyzna rozebrał się do naga i zaczął metodycznie otrzepywać słomiane wdzianko. Xiao poszedł w jego ślady, choć wykręcanie płóciennego chałatu i spodni nie rokowało zbyt wielkich nadziei.

– Klasztor Niebiańskiego Tygrysa daleko stąd – przerwał milczenie rybak. – I wysoko.

– Jest tu jakaś droga? – wyjąkał bakałarz. Chałat z przemoczonego zrobił się mokry.

– Tutaj nie. Trzeba iść wzdłuż rzeki jakieś pięć, sześć li, aż będzie ścieżka. Klasztor stoi na samym szczycie. Przed zmrokiem, panie, nie zdążysz.

Xiao, wstrząsany dreszczami, wciągnął na siebie wilgotny strój.

– Masz tu dwie sztuki srebra. Za łódź. – Rzucił rybakowi i ruszył we mgłę.

– Niech droga twa, panie, z wiatrem wiedzie – zawołał za nim mężczyzna.

Po raz kolejny wyczuł, że stoi przed zboczem zbyt stromym, by je pokonać. Kaszlnął, skręcił i kontynuował mozolną drogę po omacku.

Otaczała go lepka ciemność, wypełniona szumem wiatru i przejmującym chłodem. Ścieżkę zgubił niedługo po tym, jak zapadł zmrok. Od tamtej pory szedł jak ślepiec bez laski: z wyciągniętymi rękoma, wolno stawiając stopy. Ciało miał obolałe od upadków; pośród trawy i ziół porastających stok walały się zdradliwe kamienie. Wycieńczone mięśnie łaknęły odpoczynku, ale wiedział, że jeżeli się zatrzyma, niechybnie zaśnie i w wilgotnej odzieży nie przeżyje nocnego przymrozku.

Dotarł do skalnej ściany. Posuwał się wzdłuż piędź po piędzi, dopóki jego stopa nie zawisała w pustce. Wycofał się powoli i spróbował obejść przeszkodę górą. Na wysokości twarzy miał skalną półkę. Wspiął się z największym trudem. Ponad półką zaczynało się zachęcająco łagodne, porośnięte krzakami zbocze. Niemal bez tchu w piersiach ruszył w górę, wydatnie pomagając sobie rękoma.

Stok rychło przeszedł w płaskie pole. Xiao, potykając się, parł przed siebie, dopóki teren nie zaczął opadać. Skręcił, ale zamiast w górę, zaczął znów iść w dół. Zawrócił tylko po to, by wreszcie skonstatować, że jest na szczycie.

Ale klasztoru nie było.

Przystanął, dygocząc, w miejscu, które wedle jego intuicji było najwyższym punktem wzniesienia, i długo wpatrywał się w mgłę. Nadaremno. Wyjątych ciemności nie rozświetlał najmniejszy ogień, tak jak zakradającego się do jestestwa bakalarza mroku nie rozjaśniał żaden promyk nadziei.

A może jednak?

Sięgnął do rękawa po dzbanuszek. Być może tej nocy czekał go kres. Miał jednak skuteczny przeciwśrodek.

Dekokt, który wydobył na chwilę z objęć śmierci dogorywającego starca, by zaraz wpechnąć go w nie ze zdwojoną mocą.

Xiao potrzebował wszystkich sił, by przetrwać tę noc.

Jeśli istniała jedna szansa na sto, że przeżyje, musiał z niej skorzystać.

Wyszukał gęstą kępę krzewów i umościł się głęboko pod gałęziami po zawietrznej. W bok kłuły go kamienie i korzenie, ale było to niczym w porównaniu z błogą rozkoszą bezruchu. Poczuł, jak morzy go sen, więc czym prędzej odkorkował dzbanuszek i przyłożył sobie do ust. Mikstura miała smak, ale nie zdążył rozpoznać jaki.

Bakalarza prócz zupełnej ciemności ogarnęła naraz absolutna cisza.

Łopoczą zerwane pieczęcie, w mrocznym wnętrzu pełga ogień. Trzy utkane z czerni postaci unoszą okrągłą płytę. Pochylają się nad przepastnym otworem, gestykują. Naraz w górę tryska strumień światła. Czeluść jaśnieje zimną poświatą. Mężczyźni odsuwają się pod ściany. Poświata wzmagą się, by nagle rzygnąć z otchłani snopem poskręcanych bladych ciał. Pocisk przebija dach, lodowate postaci rozpryskują się na boki. Mężczyźni rzucają się do ucieczki, ale demony pędzą za nimi z szybkością tajfunu. Trzech ludzi zwiąja się w męce, kiedy kilka lotnych sylwetek przenika przez ich ciała raz za razem. Pozostałe demony suną ku kwaterom mnichów. Przenikając przez śpiących, nabierają blasku, podczas gdy ciała ludzi wiotczą i nikną. Kiedy cele pustoszeją, demony wzbijają się w niebo nad pogrążonymi w mroku górami i wirują w tężejącej mgłę.

Xiao przez chwilę nie wiedział, czy ma otwarte oczy. Otaczała go całkowita ciemność. Niepewnie pomacał wokół siebie ręką. Kiedy natrafił na gałęzie krzewu, wróciła mu pamięć.

Dłuższą chwilę nasłuchiwał. Wiatr ucichł i tylko wszechobecna czerń pozwalała przypuszczać, że nad Heng nadal unosi się lodowata mgła.

Opuścił głowę. Wciąż żył. Mimo zawiesistego chłodu w powietrzu było mu ciepło. Pod dłonią wyczuł dzbanuszek. Leżał poziomo, pusty. Xiao desperacko włożył doń język i zlizął osad ze ścianek.

Mur pęka, wiatr hula przez szczeliny... Pierścień pęka, zsuwa się, spada...

Głosy były coraz donośniejsze, szarpanie dotkliwsze. Xiao otworzył oczy i dostrzegł wokół siebie mnichów w granatowych opończach i z wysoko upiętymi włosami. Nad nimi jaśniały gwiazdy. Całe chmury gwiazd.

Pozwolił postawić się na nogi. Zawirowało mu w głowie, płucami targnął kaszel. Po kilku krokach mięśnie zaczęły nieznośnie rwać, w skroniach zapulsowało boleśnie. Podniósł umęczoną twarz i zobaczył mroczną bryłę klasztoru.

Zespół budowli świątynnych stał na sąsiednim wzgórzu, czy raczej wypiętrzeniu tego samego szczytu, składającego się z dwóch kulminacji rozdzielonych płytką przełęczą. Bakałarz nocował w krzakach oddalony od porządnej słomianej maty w zadaszonej celi o jedną li.

Spękane drewniane wrota zdobiła barwna płaskorzeźba tygrysa, drapieżnym susem wskakującego na obłok. Mnisi poprowadzili Xiao wąskimi przejściami do swych kwater. Tam rozebrali do naga, oblali kilkoma kubłami letniej wody, odziali w suchą opończę i napiili ziołową gorzałką, by na koniec powieść do okazałej siedziby przeora.

Mężczyzna jeszcze nie tak dawno musiał być w sile wieku. Wysoki i chudy, nosił prostą granatową opończę i kok z zapinką w kształcie dłoni, trzymającą w ryzach długi warkocz. Kiedy wprowadzono Xiao, podniósł się sprzed ołtarza, na którym zapalał trociczki przed świętym posągami, i pokłonił się.

– Witaj, uczony bakałarzu i posłańcu ziemskich sądów.

Obolały Xiao z trudem odwzajemnił ukłon. Cieszył się, że żyje; wszystko inne było mu obojętne. Przeor wskazał mu miejsce na macie i sam usiadł ze skrzyżowanymi nogami. Zanim Xiao zdążył otworzyć usta, mnich rozwiął jego nadzieje:

– Nie odpowiem na żadne z pytań, bowiem twym losem jest znać pytania, ale wciąż szukać odpowiedzi, Xiao Longu.

Bakałarz zamilkł, mrugając oczyma. Przeor uśmiechnął się.

– Zesłano mi w nocy wizję – ciągnął. – Podstępnie pozbawieni życia wrócili dokonać pomsty. Padła zaporą, zło zostało wyzwolone. Dzisiejsze czyny wrócą do ciebie jutro. Teraz nic już od ciebie nie zależy. Ale bardzo wiele zależeć będzie w przyszłości. Strzeż się Koguta i podejmuj każde wyzwanie.

Mnich wstał. Nie wiadomo skąd w jego ręce pojawił się amulet na długim jedwabnym sznureczku. Brązowe lustro, o średnicy równej pół długości palca, z jednej strony wypolerowano na gładko, z drugiej pokryto ośmioma trygramami. Przeor podszedł i przełożył Xiao amulet przez głowę.

– Niechaj strzeże twego serca.

Następnie ceremonialnie złączył dłonie, pokłonił się i zniknął w sąsiednim pomieszczeniu.

Pisarz siedział bez ruchu, dopóki mnisi nie zaprowadzili go z powrotem do kwater. Machinalnie zjadł, co mu podano, popijając dzbankiem napoju, którego smaku nie zauważył.

Trwał w apatii dopóty, dopóki nie przyniesiono mu wysuszonego chałatu. Przebrał się, podziękował i wyszedł.

Świtało. Z oddali dobiegło głębokie bicie dzwonu. Pośród bogato zdobionych budynków świątynnych przemierzali się mnisi. Błąkający się bez celu bakałarz dotarł w najwyższy punkt klasztornej grupy, gdzie wznosiła się ogromna hala świątynna. Krawędzie podwiniętego granatowego dachu zdobiły wyraźnie odbijające się na tle błękitniejącego nieba figurki ziemskich zwierząt i stworów z zaświatów.

Pośród mnichów zapalających u wejścia trociczki Xiao dostrzegł znajomą sylwetkę pielgrzyma o kulach. Oczekał, aż ten dokończy rytuały, i podszedł bliżej.

– Witaj, starcze.

Pielgrzym pokłonił się na tyle nisko, na ile pozwalały mu bambusowe laski.

– Witaj, czcigodny panie! Cóż za radość dla mych oczu widzieć cię znowu.

– Gdzie twoi pobratymcy?

– Udali się w dalszą pielgrzymkę.

– I zostawili cię tu, starcze, samego?

– Nie, panie. Zostałem tu, by opiekować się Yangiem. Jeśli los da, spotkam się z resztą na dole, jeśli nie, być może za rok, o ile życia starczy.

– A co z Yangiem?

Pielgrzym skurczył się w sobie.

– Zmarł wczoraj.

Bakałarz poczuł ukłucie w piersi.

– A co mu było?

– Chłód, panie. Chciał wykaszleć zimną flegmę, ale krwią zaczął spluwać. Zioła nie pomogły i wczoraj zamknął oczy. Szczęśliwy był, że przyszło mu umrzeć w Klasztorze Niebiańskiego Tygrysa.

Znowu ozwał się dzwon, tym razem znacznie głośniejszy. Brązowy instrument znajdował się w pobliskim otwartym pawilonie; mnich rytmicznie uderzał weń podwieszoną drewnianą belką.

Xiao skinął dłonią. Starzec pokłonił się nisko i zniknął we wnętrzu świątyni.

Bakałarz walczył chwilę z ogarniającą go słabością i zniechęceniem. Wreszcie przemógł się i wstąpił do świątyni, gdzie skręcił do najbliższej z bocznych sal i ukląkł przed jednym z licznych posągów. W mroku nie widział, do jakiego bóstwa się modli. Ważny był zapach trociczek, ciemność i ciche stąpanie mnichów w głównej sali.

Ocknął się z zamyślenia, kiedy snop światła słonecznego przebił się przez jego powieki. Otworzył oczy i podniósł głowę.

Krępy osobnik o ciemnej twarzy i splątanej brodzie odziany był w szatę i czepiec uczonego. Szkaradne oblicze wykrzywił okrutny grymas. Bakałarz klęczał przed posągiem Zhong Kuia, Demona-Pogromcy Demonów.

Słońce wschodziło; oślepiające promienie przesączały się przez ażurowe okiennice i penetrowały wnętrze świątyni. Kiedy Xiao wyszedł na zewnątrz, uderzyło go piękno porannego krajobrazu.

Po mgłę i chłódzie nie został nawet ślad. Ciemną zielenią górskiego masywu wieńczyły drobne sylwetki pawilonów i pagód. W dole wiła się rzeka, nad nią krążyło stado ptaków.

Bakałarz zaczął obchodzić świątynię dookoła. Za drugim narożnikiem piękno widoku zmącił słup dymu, snujący się zza jednego ze szczytów. Bakałarz patrzył zaskoczony, wreszcie zbiegł po schodkach i zaczął przechodzącego mnicha.

Ten nie wydawał się poruszony.

– To Klasztor nad Brzegami Rzeki. W nocy widać było płomienie, teraz już dogasły. – A na zdumione spojrzenie młodzieńca dodał: – Jesteśmy zbyt daleko, by cokolwiek zrobić. Ratunek należy do ich bóstw-patronów.

– Muszę tam dotrzeć jak najprędzej. – Bakałarz cały się trząsał. Apatia minęła jak ręką odjął.

– Jest skrót, dzięki któremu dotrzesz tam jeszcze dziś – do rozmowy włączył się przechodzący mnich. – Ale to droga nie dla każdego...

Xiao zatęsknił za mgłą, kiedy liny ugięły się pod jego ciężarem i zakołysały. Rzadko rozstawione bambusowe szczeble zmuszały do patrzenia pod nogi i niżej. Po obu stronach bieleły się wapienne skały, daleko w dole błyszczała rzeka. Ale Most Niebiańskiego Tygrysa stanowił najkrótszą drogę na sąsiednie pasmo górskie.

Bakałarz zacisnął zęby i zrobił kolejny krok. Wedle legendy mnisi niosący materiały budowlane niebezpieczną ścieżką w poprzek urwiska ujrzeli tygrysa, który przeskoczył z jednej ściany skalnej na drugą. W miejscu tego nadzwierzęcego wyczynu przerzucili most linowy, a klasztor i kanion nazwali na cześć odważnej bestii.

Xiao patrzył, ile kroków ma jeszcze do przejścia, i nie wierzył w ani jedno słowo legendy. Istotnie, wysokie stoki nigdzie indziej nie zbliżały się do siebie na mniejszą odległość, ale żadne normalne zwierzę nie zdołałoby przeskoczyć dzielącej je przepaści.

Nie na darmo nazwali tygrysa „niebiańskim”, pomyślał bakałarz i uczynił kolejny krok. Na moment otoczyła go chmara ważek. Szedł dalej, mimo że im bliżej był środka, tym silniej most się kołysał.

Kiedy wreszcie stanął po drugiej stronie kanionu, najchętniej padłby plackiem i odpoczywał, lecz smugi dymu wciąż widoczne na niebie nie pozwalały tracić czasu. Zacerpnął parę łyków herbaty z bukłaka i potruchtał zdyszany kamienistą ścieżką.

Słońce minęło już najwyższy punkt swej drogi, gdy stanął u zbiegu ścieżek. Tędy nieśli ich tragarze pierwszego dnia. Nabral wody z przecinającej szlak strużki i ruszył w górę. Trzej Mnisi garbili się pod palącym niebem.

Braku sił nie dało się długo nadrabiać determinacją. Po kolejnym zakręcie zygzakującej w górę ścieżki półżywy Xiao usiadł na kamieniach, a potem położył się, nie zważając na nierówność podłoża.

Usłyszawszy ludzkie posapywania, z trudem uniósł głowę. Po ścieżce sunęło kilka lektyk. Ociekający potem tragarze drżącymi z wysiłku nogami stawiali kolejne kroki po zdradliwym żwirze.

Bakałarz otworzył szeroko oczy, kiedy spomiędzy firanek mijającego go palankinu surową twarz wystawił sędzieza Hu.

– Stać! – wrzasnął Hu. Tragarze z ulgą postawili lektyki na ziemi, młodzieniec zerwał się na równe nogi i pokłonił nisko. – Xiao Longu! Jak śmiałeś podjąć czynności operacyjne bez mej wiedzy!

– Dostojny sędzio, wybacznemu, lecz słowa pielgrzymów... – zaczął zgięty wpół Xiao, ale Hu nie dał mu dokończyć.

– Dość tych tłumaczeń! Przejąłeś się bajdurzeniem starych głupców, zamiast wrzucić ich do lochu i poczekać, aż wino wywietrzeje im z głów! Przegnałem dziadów precz, zbyt wiele bają już w życiu słyszałem. A ty dałeś im się omotać!

Bakałarz pokłonił się i otworzył usta, lecz sędzia znów go zagłuszył.

– Widziałem, ile pieniędzy wzięłeś z sądowej kasy! Oczekuję, że co do sztuki wrócą do szkatuły! Jeśli zaś je zmarnowałeś, co by mnie nie zdziwiło, pisać będziesz darmo póty, póki ich nie odpracujesz! Ten samowolny wybryk nie ujdzie ci na sucho. Już niedługo tu zabawię, niebawem wyjeżdżam do stolicy objąć wysoki urząd w Ministerstwie Kar. Jeśli jednak sędzia Chu będzie ci pobłażał, bądź pewien, że dowiem się o tym i wyciągnę najsurowsze konsekwencje!

Tym razem Xiao ograniczył się tylko do pokłonu.

– Jeśli zbrodnie jakieś popełniono w klasztorze – ciągnął sędzia – miałeś aż nadto czasu, by wszystko wyświetlić. Czekam na wyjaśnienia!

Stropiony bakałarz zaczął opowiadać wydarzenia ostatnich dni. W miarę jednak jak mówił, sroga twarz pana Hu ściągała się jeszcze bardziej. Gdy Xiao dotarł do momentu, kiedy spotkanie nad rzeką natchnęło go do odwiedzenia Klasztoru Niebiańskiego Tygrysa, sędzia nie wytrzymał.

– To ma być relacja ze śledztwa?! To jakaś gawęda, anegdota, nie raport dla sędziowskich uszu! Xiao Longu, do niczego się nie nadajesz, a do śledztw już najmniej! Widzę, że coś istotnie jest na rzeczy, ale tyś nie zabrał się do sprawy od właściwej strony. Trzeba było potraktować tych łysych osłów żelazem, dawno wszystko byś wybadał! Już ja dobioreę się im do skóry. I tobie też, poczekaj tylko, aż wrócimy do miasta. Zmykaj na koniec, ale już!

Upokorzony Xiao udał się za ostatnią lektykę, obciążoną potężnym strażnikiem sądowym, i z pochyloną głową podjął marsz. Odważył się niepokoić pana Hu dopiero, gdy zbliżyli się do lasu nieopodal klasztoru.

– Dostojny sędzio, tu właśnie zostawiłem strażników. Bądź tak łaskaw i...

– Wiem – uciął Hu. Wnet po lesie poniósł się czysty dźwięk trąbki. Lecz choć strażnik nadymał się, jak mógł, nikt nie wyszedł z lasu.

– Widocznie lekce sobie poważyli twe instrukcje – kąśliwie rzucił sędzia i nakazał podjęcie podróży.

Ledwo przejechali zagajnik, ich oczom ukazał się ponury widok.

Środkiem ogromnej polany płynęła rzeczka, nad brzegami której wznosiły się dwa zespoły klasztorne. Nad budowlami po wschodniej stronie unosił się dym. Zamiast smukłej pagody sterczał pociemniały kikut, czerwone ściany świątyni szpeciła smolista czerń, dachy pozapadały się do środka.

Klasztor po stronie zachodniej na pierwszy rzut oka zdawał się nienaruszony. Mimo jednak, że dachy lśniły, a pagoda górowała dostojnie nad okolicą, wyglądał na opustoszały.

Kiedy podjechali do wrót Klasztoru nad Zachodnim Brzegiem Rzeki, na progu ujrzeli wykrzywione w straszliwej męce ciało mnicha. Na dziedzińcu zwłok były już dziesiątki. Każdy krok w głąb klasztoru ujawniał nowe. Nawet sędzia Hu, jeszcze przed chwilą tak hardy, zbladł jak papier.

Cały teren klasztoru usłany był zniekształconymi trupami. Najwięcej leżało w okolicy pagody i wokół ołtarza w jej wnętrzu, tak jak gdyby mnisi w obliczu niebezpieczeństwa szukali tu schronienia. Nadaremno.

Xiao rozpoznał w mijanym budynku siedzibę przeora. Hu łaskawie wyraził zainteresowanie. Weszli tylko po to, by cofnąć się ze zgrozy.

Podłogę sali pokrywały kałuże krwi. Wysoczyła się ona z poszlachtowanych ciał Najwyższego Kapłana i kilku innych mnichów, leżących bezładnie wewnątrz kręgu utworzonego z wygasłych już kadzielnic. W centrum, na linii przerzuconej przez belkę sufitową, wisiał sędziwy przeor.

Starzec opończę miał nadpaloną, w zaciśniętej kurczowo dłoni trzymał zakrwawiony nóż. Twarz wykrzywił mu grymas tego samego cierpienia, którego doświadczyli mnisi na dziedzińcu, uliczkach i w świątyni.

Nie zdążył uciec w śmierć przed zemstą demonów.

Xiao dopadło nagle potworne zmęczenie, płynące nie tyle z udręki ciała, co duszy. Jego umysł domagał się powrotu do normalności. Sędzia i strażnicy ruszyli w dalszy rekonesans, zostawiając bakałarza na progu kwatery przeora. Pograżony w odrętwieniu wstał opornie dopiero, kiedy podbiegł doń jeden z ludzi Hu.

– Sędzia wzywa.

Ruszyli przez labirynt uliczek, a potem w dół ciemnych schodów prowadzących pod mnisze kwatery.

U wejścia do obskurnej celi stali strażnicy. Bakalarz niepewnie postąpił naprzód.

W świetle lampek olejnych widać było leżące na kamiennej posadzce poskręcane ciało. Xiao zrazu zmarszczył brwi, a potem uniósł je raptownie, z przerażeniem uświadamiając sobie, że poznaje spętanego powrozem mężczyznę.

Cheng.

Musiał nie spać, kiedy przybyły demony. Umarł w konwulsjach, jak mnisi, którzy go więzili.

Wzrok zdruzgotanego bakalarza powędrował w bok, gdzie powinien spoczywać Deng. Ale nie spoczywał. Na kamieniach zostały tylko powiązane powrozy, ułożone tak, jak gdyby pętały kogoś śpiącego.

Wzrok sędziego Hu nie mógł wyrażać większego potępienia.

Jakość ceremonialnych petard urągała ostatniej sztuce srebra, jaką zdeterminowany Xiao za nie zapłacił, ale uparłszy się i zagryzłszy zęby, zdołał odpalić wszystkie. Kiedy trzaskanie ucichło, zamknął oczy i wciągnął w płuca woń spalenizny.

Z oddali dobiegł dźwięk dzwonu. Pierwsi mnisi z klasztorów Heng przybyli nad zachodni brzeg zająć się ciałami zmarłych. To oznaczało, że sędzia Hu niebawem ruszy w drogę do miasta. I nie będzie czekał na swego nieudacznego pisarza.

Młodzieniec podopalał wygaszone trociczki w kadzielnicy i wytarł ręce w chałat. Nasączona wilgocią główna sala świątynna nie spłonęła bynajmniej jak wiązka słomy, ale dym zdołał pokryć otoczenie grubą warstwą sadzy.

Ostatni raz spojrzął na zapadnięty dach świątyni i szpetny kikut pagody, odcinający się posępnie od błękitnego nieba. Potem odwrócił się i szedł po schodach, zostawiając za sobą zgliszcza.